

To tyle, proszę pana. Z Januszem Maciejewskim rozmawia Marcin Mitzner

Opracował Piotr Mitzner

Janusz Maciejewski: Urodziłem się w Łodzi 2 czerwca 1930 roku, w rodzinie inteligenckiej pierwszego pokolenia. Moi rodzice byli nauczycielami szkoły, jak się wówczas nazywało, powszechnej – dzisiaj podstawowej. W Łodzi wychowywałem się do dwudziestego drugiego roku życia, dopiero w trakcie studiów przenieśliśmy się do Warszawy. Okupację także spędziłem w Łodzi.

No cóż, jeśli chodzi o okres dzieciństwa, tam niewiele się działo; nie chodziłem do przedszkola, siedziałem w domu, pod opieką babci. Był to dom dwupiętrowy, domek, bardzo prosty, kubistyczny. Na parterze mieszkała babcia, na pierwszym piętrze my, jeszcze moja ciotka mieszkała piętro wyżej. Rodzice zaprowadzili mnie w szóstym roku życia do szkoły. Tak mi się tam podobało, że zacząłem się po prostu uczyć.

Z czasów przedwojennych niewiele pamiętam. Wiem, że mój dziadek, który był robotnikiem, był piłsudczykiem, działaczem PPS, w wolnej Polsce został policjantem, bo po rozbrojeniu Niemców w 1918 roku należał do takiej robotniczej milicji, z której później rekrutowały się kadry Policji Państwowej. Rodzice moi raczej też głosowali, mimo wezwań do bojkotu, na sejm, ten właśnie sanacyjny, ale byli do rządu, zwłaszcza po śmierci Marszałka, bardzo ostrożnie ustosunkowani. Żywili sympatie do Polskiego Stronnictwa Ludowego i PPS, czyli partii wówczas będących w opozycji. W domu oczywiście nasłuchiwałem się różnych rozmów politycznych. Wtedy także szalał antysemityzm, do którego moja rodzina miała stosunek, no choćby z tego powodu, że była przeciwna narodowcom, negatywny.

Ale był taki jakby przyzwalający ton wobec antysemityzmu, to znaczy nie było to nietaktowne. Dzisiaj, jeśli ktoś się odezwie, no to jest już... A wówczas z takim dyskutowało się, mówiło się: „E, przesadzasz”. Ale się dyskutowało, czyli było jakieś przyzwolenie ogólnospołeczne, co, uważam, było błędem. Popętniał ten błąd kardynał Hlond, popętniał Sławoj Składkowski, gdy zaaprobowali bojkot ekonomiczny, potępiając tylko pogromy, czyli bandyckie metody antysemityzmu.

Wydarzenie polityczne, które zapamiętałem, to w 1935 roku śmierć Marszałka Piłsudskiego i jego pogrzeb. Na pogrzebie nie byłem, ale w trakcie pogrzebu w całej Polsce wszystkie dzwony biły i wszystkie fabryczne syreny były włączone. Usłyszałem wyście i dzwonienie, spytałem babci, co to jest, a babcia zapłakana mówiła: „Marszałek umarł i jest jego pogrzeb”. To było jakby pierwsze wprowadzenie do polityki. Oczywiście

później pamiętam miesiące tuż przedwojenne i sam wybuch wojny, który był czymś bardzo traumatycznym, zwłaszcza że Niemcy bardzo szybko wkroczyli do Łodzi. Polska poniosła klęskę. Pamiętam z tego okresu lęk, siedzenie w piwnicy, która była takim niby-schronem, ale jakby tam walnęła porządna bomba, toby z tej piwnicy nic nie zostało. No i pamiętam płaczącego mojego dziadka, co było zaskoczeniem, bo to bardzo silny, wielki mężczyzna. Jak trzeba było coś ciężkiego przenieść, to się wzywało dziadka, jako że był silniejszy od swoich zięciów inteligentów.

Ojciec mój urodził się w Pabianicach i tam mieliśmy rodzinę, a dziadek ze strony ojca także był robotnikiem, z tym że robotnikiem należącym do arystokracji robotniczej, bo majstrem. Też po 1918 zaczął pracować w policji i też należał najpierw do milicji robotniczej, z tym że dość wczesnie przeszedł na emeryturę, bo był gruźlikiem. Tym się wyróżnił w mojej pamięci, że lubił popisywać się znajomością języków. Mówił biegle po polsku, po niemiecku, po rosyjsku i po żydowsku. Sam pamiętam, jak u nich mieszkałem (gdy w domu była choroba na przykład, matka chorowała na coś zakaźnego), poszedłem do sklepu z dziadkiem, żeby coś kupić, oczywiście do sklepu żydowskiego, bo tych było najwięcej. A moi rodzice nie bojkotowali, moi dziadkowie nie bojkotowali Żydów, byli z nimi zaprzyjaźnieni. No to jak wszedł, to zaczyna po żydowsku rozmawiać i tak sobie rozmawiali, a potem Żydówka do mnie już po polsku: „A, jaki pana dziadek wykształcony człowiek, tyle języków zna”. Ale to było naturalne, oni uczyli się na podwórku, na ulicy, to były Pabianice, Łódź, ten cały okręg wymieszany narodowościowo. W Łodzi na 400 tysięcy Polaków mieszkało 200 tysięcy Żydów i 70 tysięcy Niemców. I jeszcze troszeczkę było mniejszości rosyjskiej i ukraińskiej.

To takie migawki z okresu przedwojennego z domu, moja genealogia. Mogę jeszcze dodać, że o ile ten mój dziadek ze strony ojca pochodził w prostej linii od robotników, a przedtem z chłopów po prostu, to moja babcia należała, powiedzmy, do osób z pewnymi pretensjami. Mianowicie jej rodzice to była jakaś drobna szlachta i miała niewielki mająteczek, ale zbankrutowała, co często się zdarzało. Po prostu mój pradziadek w przypływie przyjaźni, po pijanemu, podżyrował pożyczkę swojemu przyjacielowi, który oczywiście jej nie spłacił, przyjechali komornicy i mająteczek zabrali, i potem babcia musiała jako szesnastoletnia dziewczyna pójść do pracy, została krawcową i z tego utrzymywała rodziców, tak że stoczyła się na dno, ale zostały ambicje. Najstarszego syna pradziadek zdążył wykształcić. I ten najstarszy trochę potem pomagał rodzinie. Był dużo starszy od babci. Gdy miałem kilka lat, robił na mnie wrażenie starca.

Babcia wyszła za mąż także za robotnika. Jej najmłodsza córka, moja ciotka, skończyła pensję. Natomiast najstarszy syn nie miał wykształcenia, cztery klasy szkoły podstawowej tylko. Ale był działaczem harcerskim, hufcowym, jego hufiec pabianicki rozbroił Niemców w 1918. Przez kilka dni, zanim pojawiła się delegacja rządu, sprawował najwyższą władzę w Pabianicach. Później poszedł na ochotnika do wojska i doszedł do najwyższego stopnia, do jakiego mógł, to jest do sierżanta (a sierżant to jest ten, który prowadzi biuro kompanii czy pułku). Po prostu nauczył się tam księgowości. Po wojnie został zwyczajnym księgowym. Wtedy nie wymagano matury od nikogo. Umiał to robić,

to robił. Psim swędem wszedł w szeregi inteligencji. No i cała rodzina była inteligentka. A drugi mój stryj... Był taki zwyczaj, że fabrykant raz do roku dziecku swojego robotnika przyznawał stypendium. Nauczyciele wybierali najzdolniejszego i on miał stypendium, opłaconą naukę w szkole średniej. Mój drugi stryj wygrał takie stypendium, no i na koszt fabrykanta skończył szkołę średnią, a później studia wyższe, architekturę. Kończył je długo, dwanaście lat, dlatego że już na własny koszt, to znaczy pracował rok czy dwa, potem uczył się przez rok, płacił chesne, ale mimo to zdążył przed wojną skończyć [studia] i stać się najbogatszym człowiekiem w rodzinie, bo pojechał do Gdyni, był inżynierem architektem. Gdynia się budowała, także miał masę roboty. No i rzeczywiście stał się człowiekiem bardzo zasobnym i nawet jakoś tam pomagał rodzinie, a nawet swoim rodzicom wybudował domek w Pabianicach. A mój ojciec po prostu skorzystał z tego, że nie był taki młody, przedtem już coś tam robił, z tym że to był okres wojny i on po prostu żył z handlu. Ale w roku 1915, jak Niemcy wkroczyli do Warszawy, szkolnictwo spolonizowano i powołano dwie uczelnie, tak zwane seminaria nauczycielskie, gdzie nauka była za darmo. To znaczy w Warszawie i w Łodzi. Z Pabianic do Łodzi dojeżdża się tramwajem, bardzo blisko. I mój ojciec postanowił się kształcić dalej, na nauczyciela. Poszedł do matki i powiedział, że... [zapytał] czy się zgodzi, żeby przestał dawać jej na życie, dlatego że jest możliwość [nauki]... A nawet czasem coś tam od niej na wyrost brać. A ona powiedziała: „No, synku, chcesz się kształcić, kształć się dalej, nam jedzenia dla ciebie też starczy jeszcze”. W ten sposób ojciec skończył seminarium nauczycielskie. Poznał tam moją matkę zresztą.

○ początku drugiej wojny już mówiłem. Dodać mogę tutaj jeszcze, że Niemcy po trzech miesiącach zamknęli w Łodzi wszystkie polskie szkoły. Łódź włączono do Reichu, czyli do Niemiec. W Generalnej Guberni, czyli w Warszawie, Krakowie i okolicach, zostało polskie szkolnictwo podstawowe i zawodowe; tylko wyższe uczelnie zlikwidowano. Natomiast na terenach włączonych do Rzeszy, poza tymi, którym narzucono volkslistę, bo jak pan wie, na volkslistę można było zgłaszać się w Poznaniu, w Łodzi, w Warszawie, w Krakowie. Natomiast na Pomorzu i na Śląsku narzucono ją z góry. Znacząca można było odmówić, ale wtedy było z reguły bardzo ciężko. Szło się [za to] do Dachau. Rząd emigracyjny wydał zarządzenie, że na terenie Śląska i Pomorza przyjęcie volkslisty nie będzie traktowane jako zdrada. [Tak traktowano] dopiero przyjęcie reichslisty, bo tam było aż sześć list narodowościowych. No i do tej drugiej listy, gdzie nie można było mieć przodków Polaków, niektórzy Ślązacy mieli prawo, więc się dopisywali. Po wojnie rząd Polski Ludowej całkowicie respektował stanowisko rządu emigracyjnego i automatycznie Ślązacy dostawali obywatelstwo polskie, tylko ci, którzy mieli reichslistę, musieli przeprowadzać tak zwaną rehabilitację.

Marcin Mitzner: Wróćmy do samego początku wojny.

Janusz Maciejewski: Wróciliśmy w pierwszy dzień wojny z wakacji, dlatego że gdzieś koło 20 sierpnia rząd ogłosił, że pierwszy dzień nauki przesunięty został na 11 września. Wobec tego zostaliśmy trochę dłużej i jak wybuchła wojna, dopiero wróciliśmy, z trudem. To było pod Łodzią, niedaleko, ale ledwo udało się nam namówić

jakiegoś chłopca, żeby nas odwiózł z rzeczami. To było tak, że się wynajmowało pokój u chłopów i jeździło się z własnymi rzeczami tam; no i tam się mieszkało dwa miesiące. Tak spędzali wakacje moi rodzice i ja z nimi także.

I te pierwsze dni, do wkroczenia Niemców... Ja w tej chwili nie pamiętam, ale to można łatwo znaleźć. Gdzieś tak koło 10, może 8 września Niemcy wkroczyli do Łodzi. Wkraczali od Aleksandrowa, czyli ulicą Limanowskiego. Ja mieszkałem przy ulicy Konopnickiej, tuż przy Limanowskiego, także słyszałem, słyszało się te okrzyki radości wydawane przez Niemców, którzy witali wkraczającą armię.

Notabene, co jest paradoksem, witała Niemców także część Żydów, co budziło oburzenie Polaków i reszty Żydów. Uważali, że należy im się podlizać po prostu. Bali się ich. To szczególnie oburzało. Nawet moich rodziców, którzy nie byli antysemitami, utrzymywali kontakty z Żydami. Ja miałem lekarza Żyda, pediatrę. Zaraz przyszedli do nas żydowscy sąsiedzi i łapią się za głowę: „Co oni robią? Idioci! Zaraz im da Hitler w skórę”. No, ale tak było, po prostu. To świadectwo małości ludzkiej. W różnych sytuacjach ludzie różnie reagowali i chcieli prawdopodobnie w jakiś sposób zabezpieczyć się, żeby ten czy ów, sąsiad Niemiec, mógł donieść, że on witał. Radośnie tak w dodatku.

Te pierwsze dni wojny nie bardzo pamiętam. Moi wujowie i mój ojciec wyszli z Łodzi w kierunku Warszawy, żeby się zgłosić do Wojska Polskiego. Wujom udało się zgłosić, mój ojciec nie dogonił formacji, do której jako żołnierz rezerwy miał przydział, i wrócił. Wujowie też wrócili cało. Jakoś uniknęli niewoli. I potem mieszkało się i czekało.

Poszliśmy do szkoły, ale chodziliśmy [tam] tylko trzy miesiące, bo zamknięto wszystkie polskie szkoły i do końca wojny ich nie było. Uczyłem się dalej. Byłem uczony przez rodziców i pierwszą gimnazjalną skończyłem na tajnych kompletach.

Przez rok rodzice nie mogli dostać pracy, bo było ciężko o pracę dla inteligentów, dla Polaków. Ojciec próbował pracować jako robotnik. Dostał się do garbarni, ale tam nie wytrzymał. Nie wytrzymał po prostu smrodu, bo tam te skóry potwornie śmierdzą. I w końcu udało mu się dostać pracę buchaltera w fabryczce i po roku pracował normalnie, coś tam zarabiał. Rodzice żyli z oszczędności i z wyprzedawania rzeczy. Jakies tam zapasy porobili sobie. Trochę lepiej mieli moi wujostwo, bo byli już wcześniej podrzędny- mi urzędnikami w fabryce i po prostu dalej tam [pracowali].

Po roku nasz dom zajęto [i przeznaczono] na siedzibę NSDAP. Zostaliśmy przesiedleni na krańce miasta, do takiego bardzo lichego domku, gdzie w pokoju z kuchnią, która była na szczęście bardzo duża, zamieszkały dwie rodziny: moi wujostwo mieszkający w tym domu i my, żyjący w ciasnocie. Naszemu wujostwu się udało w pewnym momencie znaleźć jakieś mieszkanie niewielkie i wynieśli się stamtąd, a nam żyło się już trochę lepiej do czasu wyzwolenia i do powrotu na swoje.

Jak powiedziałem, uczyłem się w domu, czyli czwartą i piątą klasę mój ojciec ze mną przerabiał, bo mama zajmowała się domem i nie miała czasu. Przerabiał źle. Miałem potem wielkie luki z arytmetyki. Ojciec studiował w Wolnej Wszechnicy Polskiej, gdy powstała jej filia w Łodzi, zapisał się na historię i coś jeszcze. W szkole uczył śpiewu i zajęć praktycznych, czyli do matematyki nie bardzo mu było, pewnie sam jej nie znał,

więc mnie też nie nauczył. Gdy już ten jeden rok, który nadrobiłem, straciłem, rodzice doszli do wniosku, że trzeba mnie uczyć, i wysułąli jakieś pieniądze, i zacząłem chodzić na tajne komplety.

Były tam trzy osoby, które uczyło pięciu czy sześciu nauczycieli, bo do każdego przedmiotu kto inny przychodził.

Marcin Mitzner: A to było dużo pieniędzy wtedy?

Janusz Maciejewski: No, to kosztowało wtedy, ale nie interesowałem się ile, mimo że moi rodzice też tak zarabiali, tylko uczyli z zakresu szkoły podstawowej na tajnych kompletach. Nie były to wielkie pieniądze, ale ci nauczyciele z tego żyli, oni na ogół nic innego nie robili. I to oczywiście odbywało się w autentycznym strachu, bo za to szło się do więzienia. W Łodzi nie było Szarych Szeregów ani podziemia dla nastolatków, ale była to mała próba konspiracji.

Książki, zeszyty nosiło się na piersiach, pod koszulą paskiem przytrzymywaną, nie w rękę, żeby nie było widać, że idzie się z podejrzanymi książkami. To oczywiście wielka tajemnica. Ja byłem wówczas trzynasto-, czternastolatkiem. Jak wojna się skończyła, to miałem 14 i pół. Nawet już miałem sympatię.

Jedna z moich koleżanek, która pracowała w sklepie... (W pewnym momencie zaczęliśmy pracować, jako że Niemcy od 13. roku życia Polaków pędzili do pracy). Ona do godziny siódmej, a ja w fabryce do godziny szesnastej. Ona oczywiście zaczynała trochę później. I ja codziennie, taki byłem zakochany, gdy zakończyłem swoją pracę, to szedłem do dziadków, którzy mieszkali gdzieś niedaleko i tam się bawiliśmy z moim kuzynem, którego bardzo lubiłem. Przed siódmą biegłem, żeby stanąć naprzeciwko w bramie, kiedy ona wychodziła ze sklepu, żeby można było do niej podejść [i udać], że to przypadkowe spotkanie. I tak trwało chyba pół roku, aż pod koniec wojny.

I przeżywałem wcześniej *Ferdynurke* Gombrowicza, zanim ją przeczytałem, przeżywałem, bo nagle zostałem upupiony, wróciłem do szkoły i [szkolnego] trybu. A wcześniej siebie traktowałem jako człowieka... Coś tam zarabiałem, oddawałem matce, byłem z tego bardzo dumny.

Ojca w pewnym momencie wywieziono do Niemiec na roboty, a ściślej mówiąc, nie do Niemiec, tylko na granicę Śląska i Wielkopolski. W każdym razie w głąb Rzeszy trochę. Nie było go w domu. Byłem jedynym mężczyzną, matce ojciec coś tam dosyłał, parę groszy, ale sama nie pracowała, tylko prowadziła dom.

I zbliżamy się do końca. Powstanie warszawskie. W Łodzi przeżywane było bardzo świadomie i bardzo tragicznie. Łapaliśmy wszystkie wiadomości. To, że burzą Warszawę, także dochodziło do nas. Już po kapitulacji oburzenie na Rosjan, że nie dają pomocy, stoją za Wisłą wbrew wszelkim zasadom strategicznym... Przecież byłoby im na rękę mieć taki przyczółek po drugiej stronie Wisły, nawet gdyby ofensywę wstrzymali. Przyczółek magnuszewski nakładem ogromnych strat żołnierskich tworzyli nad Pilicą, a tutaj mieli gotowe całe miasto, które mogło być przyczółkiem, gdyby wkroczyć tam z wojskiem i obsadzić je na granicach. Ale to już jest inna sprawa.

Przyszło wyzwolenie. Front się zbliżył, zaczęto strzelać, my zesłiśmy do piwniczki i w pewnym momencie usłyszeliśmy zza okna, bo piwniczka też była byle jaka i miała okna na ulicę, usłyszeliśmy język rosyjski. Wskoczyliśmy i już byli Rosjanie. I witało się ich radośnie (bo mimo wszystko Niemców przegnali), do czasu, kiedy zaczęli grabić.

Spytali ojca, która godzina. Ojciec spojrzął na zegarek, on zaraz tąp za zegarek i już go zdejmował. Zwano ich „zegarmistrzami”. Przychodzili do mieszkania, kradli. Polek nie gwałcili, to robili dopiero, gdy przekroczyli granicę polsko-niemiecką. Kradli, mimo że byli nawet za to karani. Polacy wspominają z tego czasu z wielką sympatią generała Koniewa, który wyzwalał Kraków i jako jedyny karał żołnierzy za kradzieże. I parę osób rozstrzelał. A ci wszyscy inni: Rokossowski, Czerniachowski, Żukow – pozwalali żołnierzom kraść.

Oczywiście pokazali się w tym momencie polscy żołnierze, którzy też byli radośnie witani. Natomiast nie był radośnie witany aparat władzy, komuniści. Wszyscy byli przeżarci początkowo. Dopiero stopniowo ludzie łamali się i zapisywali od razu do PPR (początkowo niewiele osób) albo do partii sojuszniczych (PPS, Stronnictwa Demokratycznego), co lepiej wyglądało mimo wszystko. Nie były to partie przedwojenne, były to partie marionetkowe tworzone przez członków przedwojennych partii, którzy godzili się iść na współpracę. Aczkolwiek mieli w tym nie tylko racje niskie, lecz także pewne racje wysokie. Sądzieli, że trzeba odbudować Polskę przede wszystkim. I takie racje przeważały, tak że wszyscy przystąpili do odbudowy szkolnictwa.

Ojciec usiłował wrócić na swoje, ale nie udało się to od razu, bo urząd niemiecki zajęta komendantura radziecka. Kiedy donieśli nam sąsiedzi, że dom stoi pusty, szybko się przeprowadziliśmy. W pewnym momencie Rosjanie weszli z polską milicją i chcieli znów zajmować. Na szczęście dziadek wziął na bok tego milicjanta, który był szefem, dał mu w tępę i on wyprowadził tych Rosjan.

Tak jak w XIX wieku, ratowało Polaków często to, że Rosjanie byli skorumpowani i wszystko prawie można było załatwić za pieniądze, oprócz wyprowadzenia Rosjan z Polski niestety.

Marcin Mitzner: Jak pana życie zmieniało się po wojnie? Jak pan reagował na te zmiany, które zachodziły?

Janusz Maciejewski: Byłem wielkim zwolennikiem rządu emigracyjnego lat wojny. Czytało się biuletyny podziemne, czytało się prasę, wiedziało się co nieco. Poza tym przeżywałem bardzo tragedię powstania warszawskiego. Już o tym mówiłem. Moja rodzina też była przeciwna. Oczywiście wszyscy ubolewali nad stratą Lwowa i Wilna, bo wówczas jeszcze były bardzo gorące więzi z tymi miastami. Dopiero po latach bez bólu zrezygnowaliśmy. Pierwszy Giedroyc w „Kulturze” zaczął tłumaczyć nam, że w tej chwili zgodne z racją stanu jest utrzymanie Wrocławia i Szczecina, a nie odzyskanie Lwowa i Wilna. Wcześniej była to jeszcze bardzo otwarta rana.

Gdy moi rodzice już trochę pracowali i kiedy ojciec po dwóch latach wstąpił do Stronnictwa Demokratycznego, żeby mógł spokojnie żyć i żeby go nie nagabywali o zapisanie się do partii. Ja tego nie popierałem wówczas. Byłem bardzo długi

przeciwny, przez kilka lat. To był 1947 rok, czyli już po rzekomym zwycięstwie w sfałszowanych wyborach.

Łódź była miastem wielonarodowym. I nie tylko Łódź, ale cały ten rejon: także Pabianice, Zgierz, Ozorków, Sieradz, Zduńska Wola. Niemcy polonizowali się, Żydzi także, tylko że z przyjęciem Żydów były opory. Tuwim pochodził z rodziny zasymilowanej – w domu mówiono już nie w jidysz, tylko po polsku – ale to, że był Żydem, podkreślało się w jego otoczeniu na każdym kroku. Z żydostwa było bardzo ciężko wyjść. Ludzie próbowali, stosowali różne taktyki. Przenosili się do nowej okolicy, chodzili pilnie do kościoła, nawet odprawiali dewocje... Czasem udawało się to nawet.

A o Baczyńskim nikt nie wiedział. Dopiero w Izraelu sprawa wyszła na jaw. Moja żona pisała o Baczyńskim. I nagle przystali jej wycinek, że w prasie izraelskiej napisano, że jest antysemitką, bo ukrywa pochodzenie żydowskie Baczyńskiego. Moja żona była zdziwiona, bo o tym nie słyszała. Poszła do żyjącej jeszcze ciotecznej siostry Baczyńskiego, pani Anieli Piorunowej, która była potem jedną ze współwydawców pism Baczyńskiego. Ona spojrzała ze zdziwieniem i osłupieniem: – A skąd oni o tym wiedzą? Im to pewnie Mosad mówił. Całą okupację spokój mieliśmy i żaden z sąsiadów nie wiedział, Niemcy też nie. I nikt z Polaków z okolicy nie wiedział i my sądziliśmy, że już wszyscy zapomnieli. One, to znaczy pani Aniela, z którą rozmawiała moja żona, i matka Baczyńskiego, pochodziły z rodziny katolickiej: to była rodzina żydowska, ale już katolicka. Baczyński o tym wiedział, ale domyśliłem się tego dopiero z jego tekstów. Są wiersze bardzo wyraźnie wymierzone w antysemityzm, tak że ja myślę, że matka mu powiedziała. Ale potem nikt z kolegów, nikt z otoczenia, żaden z krytyków nie wiedział.

Stonimscy nie ukrywali. Stonimski urodził się już jako katolik. Jego rodzice byli katolikami oboje, ale podkreślali swoje żydowskie pochodzenie. I Stonimski czasem mówił: „No, ja jako stary Izraelita to, to i to”.

Ja na przykład podejrzewam, że jeden z moich wujów był pochodzenia żydowskiego. On był chyba już w jednej czwartej Żydem, ale jego matka, którą poznałem, starsza pani, miała niezwykle żydowskie rysy. Wszystkie papiery w porządku, jej rodzice już byli katolikami, ale w czasie okupacji ona na przykład nie lubiła chodzić po ulicy.

Marcin Mitzner: Mówił pan o tym, że po wojnie pan był przeciwnikiem porozumienia. Jak to dalej ewoluowało?

Janusz Maciejewski: Nie. Początkowo byłem przeciwnikiem tylko samej władzy. To, że organizuje się życie jakieś publiczne, społeczne, szkolnictwo, uczelnie – wszystko to przyjmowałem z wielką aprobatą i z entuzjazmem. I z wielkim entuzjazmem przyjąłem powrót Mikołajczyka.

Zresztą bardzo ciężko było żyć w kraju, w którym nie ma się nikogo do akceptowania. Wiadomo, że przegraliśmy. Oczywiście straszliwie przeżywałem 8/9 maja – pierwszy dzień zwycięstwa. Cały świat wtedy szalał, reakcje były szczerze i tak dalej. A ja miałem świadomość, że my tę wojnę przegraliśmy, że jesteśmy na tej samej stopie, co Niemcy. I nie bardzo można było się z tego cieszyć. Ale w końcu czerwca Stalin postanowił

wreszcie spełnić warunek jaltański, że powstanie rząd mieszany, Jedności Narodowej, i dogadać się z tymi politykami, z którymi chcieli rozmawiać.

Byłem harcerzem. Do harcerstwa zapisałem się, bo to była organizacja przedwojenna i wojenna. To była kontynuacja Szarych Szeregów. Szare Szeregi uznały Rząd Tymczasowy. Ujawniły się i zaczęły organizować Związek Harcerstwa Polskiego. Później dopiero komuniści dokonali tam przesiewu. Wtedy zresztą wystąpiłem z harcerstwa. I to powstało tak zwane OH – Organizacja Harcerska Związku Młodzieży Polskiej, na miejsce ZHP, czyli w roku 1950.

Harcerzy ogarniał szal, gdy przyjechał [Stanisław] Mikołajczyk na ten wielki *meeting* harcerstwa w Szczecinie. Noszono na ramionach jego limuzynę. To był ten bohater pozytywny. Nie rząd emigracyjny już. Ale on przegrał. Zorganizował wielką partię – 800 tysięcy ludzi, wielokrotnie większą od PPR-u i PPS-u, ale nie wiedział, że komuniści władzy nie oddadzą. I dlatego poszedł do wyborów, sądząc, że legalnie wygra – i wygrałby. Według dzisiejszych badań głosowało około 85% na PSL. Na te drobne ugrupowania katolickie i Stronnictwo Pracy już przesiane – bo część z niego uciekła – głosowało około 5%. I tylko około 10% zyskały partie Bloku Demokratycznego.

Przez jakiś czas byłem więc oczywiście wielkim fanem PSL-u, Mikołajczyka. Polemizowałem również z jego krytyką z prawa. Oczywiście mieliśmy w klasie kolegów konserwatystów, mieliśmy narodowców, którzy go nie akceptowali... Narodowcy chcieli wejść [władz], ale nie przyjęli ich komuniści i tylko pozwolili części narodowców później zorganizować Stowarzyszenie PAX. Oni okazali się najwierniejsi.

Marcin Mitzner: Pana klasa – co to byli za ludzie, z którymi pan zaczął znowu chodzić do szkoły?

Janusz Maciejewski: Przede wszystkim byli w różnym wieku. Stracili całe sześć lat szkoły, ale chcieli wrócić, normalnie kończyć, zdawać maturę i iść na studia. Wobec tego zaczęli od klasy, w której przerwali naukę. Było dużo takich wyrosniętych. Oni stanowili jakieś 30%. A reszta to, powiedzmy, tacy, którzy stracili jedną czy dwie klasy. Ja straciłem jedną, ale wyrównałem, bo byłem rok wcześniej.

Mieliśmy dwóch kolegów, którzy należeli do Związku Walki Młodych. Oni mieli marny żywot w klasie. Wszyscy im dokuczali i bojkutowali ich, jak tylko mogli. A reszta klasy była reakcyjna, jak to się wtedy mówiło. I oczywiście wszyscy rodzice głosowali na Mikołajczyka. W Łodzi znaleziono taki przypadek, że ktoś, kto podpisał listę, był przedtem volksdeutschem. I na podstawie tego rozwiązano listę Mikołajczykowską i nie można było głosować. Część osób głosowała więc na Stronnictwo Pracy.

Działałem w harcerstwie. Działałem w Sodalacji Mariańskiej jeden rok. Wciągnąłem mnie katecheta. Bardzo rozczarowany odszedłem. Straszna to była głupota. Potwornie niski poziom intelektualny.

Uczyliśmy się na lekcji biologii teorii Darwina według programu przedwojennego, bo komuniści swój program wprowadzili dopiero w roku '48. Nie mogli się pozbierać, wybrać, zebrać i tak dalej. Zresztą oni sami byli także przecież zniszczeni przez Stalina. Ocalały resztki. Kadry mieli marne bardzo na początku.

Miałem czwórki i nawet dostateczny miałem, celujący mi dali z niemieckiego. Klasę niżej uczyli angielskiego, nam jeszcze zostawili ten niemiecki. I to mnie odrzucało zupełnie. Ja uczyłem się tylko tak, żeby zdać i żeby mieć tę trójczynę. Całą wojnę bojkotowano niemiecki ze względów patriotycznych. Wszyscy łódzcy Niemcy znali doskonale polski. Jak ktoś się do mnie zwracał po niemiecku, zmuszałem go, żeby przechodził na polski. Udawało się. Zawsze trafiałem na łódzkich Niemców. Gdybym trafił na jakiegoś Niemca z Rzeszy, to może... ale tacy nie chodzili po ulicach. Z moim szefem w pracy mówiłem po polsku. To też był przedwojenny Niemiec z Polski. Zresztą pod koniec wojny, jak już wiadomo było, że poniosą klęskę, bardzo się podlizywał swoim pracownikom. Ocalał dzięki temu, że uciekł i dotarł do Berlina. Z tych Niemców, których zagarnięto, to mało który przeżył – rozstrzeliwali wszystkich. Rosjanie to lubili. A nawet jak Niemiec został w swoim mieszkaniu, to hołota – bo to była hołota – chodziła, prowadziła tych żołnierzy: oj, to Germaniec. No to strzelaj: pa, pa, pa. I już po Germańcu.

Nie wiem, czy pan zna *Obóz Wszystkich Świętych* Tadeusza Nowakowskiego? Jest tam o tym, jak Amerykanie wyzwalali obóz w Papenburgu, taki niewielki obóz koncentracyjny, i co wyprawiali później więźniowie z tymi esesmanami. Wszyscy ginęli w męczarniach. Oni też przeżyli gehennę. Hitler im to załatwił, taki koniec straszny.

Marcin Mitzner: A czy był pan kiedyś świadkiem...

Janusz Maciejewski: Egzekucji?

Marcin Mitzner: W momencie zemsty?

Janusz Maciejewski: Nie. Nie, nie byłem. Ale dowiadywałem się od sąsiadów o tym.

Jedna z sąsiadek ukrywała Niemca, bardzo porządnego człowieka. Potem mógł wrócić na swoje i wyjechać. I wyjechał do Niemiec, ale już legalnie. To był taki szewc, który był ewidentnym przeciwnikiem Hitlera. Utrzymywał przez całą wojnę kontakt z Polakami, co należało do rzadkości. To było bardzo źle widziane przez Niemców, jeśli Niemcy utrzymywali jakiegokolwiek kontakty z Polakami. I vice versa. Kontakty koleżeńskie, a nawet przyjacielskie były zrywane. Z obu stron. Jedni bali się opinii polskiej, inni po prostu bali się władz. Opinii też. Tak zaraz wyrósł mur.

Cała wspólnota, która sprawiła, że mój dziadek po mieczu mówił czterema językami, przestała istnieć od razu we wrześniu 1939 roku.

Nie wiem, czy odpowiedziałem na pana pytanie, ale w każdym razie ja sam nie byłem [świadkiem egzekucji], ale widziałem później w parku na Źródłkach zbieranie tych trupów niemieckich. Pracowali ci nieliczni Niemcy, którzy nie uciekli i którzy jakoś przeżyli. Potem ich spędzono do roboty. I oni te trupy chowali. Jak to zwykle bywa, często ta zemsta szła nie w kierunku najbardziej winnych, winni uciekali ze strachu. Tak najprawdopodobniej zginął ojciec Karla Dedeciusa. Karl Dedecius był w niewoli rosyjskiej, bo został wzięty do wojska, matka umarła, ojciec przeżył i nie chciał uciekać po wojnie. Mówił, że wychodzi z założenia, że nigdy nic złego Polakom nie robił. I później już, gdy Dedecius nawiązał kontakt z Polską, gdy szukał go, to nigdzie go nie znalazł, po wyzwoleniu [ojciec] przepadł gdzieś. Został prawdopodobnie pochowany w parku na Źródłkach

wśród tych trupów, które zbierano i chowano. Oczywiście osobno, z honorami chowano żołnierzy radzieckich, a żołnierzy niemieckich oraz tych właśnie cywilów zamordowanych chowano bez żadnych honorów na Źródłiskach.

Niedawno gdzieś wyczytałem, że Niemcy starają się o to, żeby ich ekshumować, i pewnie do tego dojdzie. W tej chwili nie ma powodu, żeby tego nie robić.

Marcin Mitzner: Wróćmy do wątku, od którego wyszliśmy. Przez rok był pan w Sodalicii.

Janusz Maciejewski: I zrezygnowałem. Te broszurki, które wyśmiewały Darwina, były na takim poziomie... Poszliśmy z kolegami do naszej biolożki i spytaliśmy się, jak to właściwie jest. A była to osoba wierząca, głęboko wierząca, chodząca do kościoła. I ona była strasznie biedna. Nie wiedziała, co ma powiedzieć. Powiedziała, że nie wie, nie chce wchodzić w – że tak powiem – kościelne sprawy, ale to jest na pewno prawda, to, co Darwin napisał. Z punktu widzenia biologicznego to na pewno prawda. Jeszcze pozytywiści zachwycaли się Darwinem, a tutaj po wojnie zwalczą się go.

W każdym razie byłem bardzo rozczarowany. I co za tym poszło zresztą także, zacząłem być rozczarowany w ogóle Kościołem, w końcu zostałem człowiekiem wierzącym-niewierzącym, to znaczy nie jestem ateistą. Wierzę, że Bóg istnieje, natomiast nie mam łaski wiary we wszystko to, co mówi Kościół, czyli jestem jakimś takim pozawyznaniowym-wierzącym. Nawet powiedziałbym: kimś więcej niż chrześcijaninem, bo ja czasem dochodzę do wniosku, że chyba rację mieli zaratustrianie, że walczą dobro ze złem – Ormuzd i Aryman. I że my wszyscy powinniśmy Ormuzda popierać. Nie jest tak, że Bóg jest wszechmocny i dopuszcza zło. Religii uczyłem się jednak do końca i miałem ją na maturze.

Mogę powiedzieć, że w pierwszych latach powojennych, zresztą gdy Rosjanie ustąpili na początku roku 1946 i wojska rosyjskie wycofały się z Polski, to troszeczkę rozpogodziło się życie codzienne. Bardzo szybko następowała jego poprawa. Tak dalece, że nawet w Polsce zniesiono kartki żywnościowe wcześniej niż we Francji – w 1946 roku właśnie. Następnie ten tak zwany plan trzyletni to był jedyny plan, który się powiódł. Robili go jeszcze fachowcy, głównie z PPS-u. PPR po przetrzebieniu komunistów w latach 30. nie miała własnych kadr, tak że początkowo brała fachowców, którzy zgłaszali się do współpracy, i można powiedzieć, że te pierwsze dwa lata to było pewne zwycięstwo tych fachowców, których byśmy dzisiaj pokazali wspólnie z takimi jak wicepremier rządu przedwojennego Eugeniusz Kwiatkowski jako przykład, że można Polskę odbudować i można zrobić dobrobyt.

Oczywiście było wtedy w Polsce bez porównania lepiej niż w krajach sąsiednich, zwłaszcza w Związku Radzieckim. W Związku Radzieckim jaki taki dobrobyt nastąpił znacznie później, dopiero za Malenkowa. Natomiast u nas pojawił się wcześniej niż w Czechach. I to troszeczkę – że tak powiem – opór łamało. A jednocześnie ten opór rozładowywało to, że jednak opcja Mikołajczyka poniosła klęskę. Okazało się, że nie dało się przechrzyć Sowietów. Oni i tak sfatšowali wybory. A później przyszedł rok 1948.

Okazało się, że ta opcja Kwiatkowskiego, PPS-u też poniosła klęskę. Wszyscy oni zostali wycofani i zastąpieni przez komunistów, którzy nastawili się na szybką industrializację – to była zasadnicza przyczyna. Ale oni po prostu nie potrafili... nie byli fachowcami i całkowicie zdemontowali gospodarkę, tę kapitalistyczną, która była po wojnie i która jawiła się jako gwarant zwycięstwa głównie ekonomicznego. Okazało się, że wszelkie próby jakiegos oszukania komunistów też nie wychodzą. Cały ich program oczywiście został przekreślony w momencie odwołania Gomułki, [program] gospodarki trójsektorowej, [na którą składały się sektory:] drobny prywatny, państwowy i spółdzielczy, który był wtedy jeszcze samodzielny (spółdzielnie były przedwojenne, według przedwojennego wzoru), a jeśli chodzi o Generalne Gubernatorstwo, to one nawet przetrwały okupację, bo Niemcy nie rozwiązyli ich. Na terenach włączonych do Rzeszy wszystko, co polskie, uległo likwidacji. Tam pozwolili działać tym różnym spółdzielniom. Potem one rzeczywiście stały się kolosami ekonomicznymi, zaraz po roku 1945. I zadekretowano pełny socjalizm.

W zasadzie powinien tutaj nastąpić bunt społeczeństwa, ale społeczeństwo było zmęczone, co więcej, rozczarowane do Zachodu, który nie reagował, pozwolił zrobić zamach stanu, sfałszowane wybory w Polsce, pozwolił zrobić zamach stanu w Czechosłowacji, na Węgrzech, w Rumunii. Wszędzie te partie sojusznicze były wykańczane albo doprowadzane do roli marionetek, jak u nas ZSL i SD, które zostały z tych kilku partii, które istniały zaraz po wojnie. PPS została zlikwidowana drogą tak zwanego zjednoczenia z PPR-em. To są rzeczy powszechnie znane, ale jest to wstęp do mojego zachowania.

Otóż któregoś dnia do klasy wkroczyli dwaj ZMP-owcy, a to było po powstaniu ZMP w 1948 roku. Weszli z deklaracjami i powiedzieli: „Wiecie, jak to jest. Lepiej być w ZMP, jak będzie robiono się maturę”. I koledzy zaczęli obiecywać. Wpisuję się, podpisałem ostatni, ale nie chciałem zostać sam bez kolegów – nagle [miałem] takie poczucie bycia w stadzie. Oczywiście nie był to pewnie żaden ZMP w sensie ideologicznym, przez pierwszy okres nikogo nie indoktrynowaliśmy.

Wtedy był bardzo modny Gałczyński i jego *Teatryk Zielona Gęś*. Było to uprawianie groteski. Na kolejnych zebraniach, na których śmialiśmy się do rozpuku, wybraliśmy przewodniczącego, świetnego komika, który to robił... Ale ten krok został zrobiony, opowiedzieliśmy się po stronie władzy.

Marcin Mitzner: Czy to było tak, że cała klasa się zapisała?

Janusz Maciejewski: Tak – cała klasa. Znaczy nie. Z wyjątkiem kilku kleryków, bo mieliśmy także kilku kleryków. Oni byli w seminarium, ale musieli kończyć normalną szkołę średnią, do matury. I dopiero później mieli już normalne seminaryjne zajęcia, seminaria na poziomie średnim zlikwidowano. To było zaraz po wojnie.

Zresztą tak było wszędzie. Wszędzie zapisywano się całymi klasami. I dlatego w ZMP było 99 czy ileś tam procent młodzieży. Bardzo niewiele zostało, a i z nich jeszcze dobierano tak zwanych „pozytywnych niezorganizowanych”.

We wszystkich władzach musiał być taki jeden „pozytywny niezorganizowany”. Zwykle oni byli większymi beneficjentami. Oczywiście te zebrania potem, na studiach wyższych,

to już były nie we własnym gronie, bo nasza klasa [jako grupa] rozpadła się, każdy poszedł gdzie indziej. I to już była indoktrynacja, przeciwko której buntowaliśmy się bardzo.

Ja myślę, że Gałczyński to był taki poeta (on sam przecież też deklarował, jak mógł, swoje usługi komunistom), który rozładowywał nastroje niechęci drogą groteski, humoru, komizmu. Wszystko jest śmiechu warte. Śmieszny jest ten socjalizm, to będziemy się z niego śmiali, ale nie będziemy przeciwstawiali się mu. To mniej więcej tego typu doktryna. I całe studia właśnie spędziliśmy w ZMP, co nie znaczy, żebyśmy nie prowadzili przede wszystkim własnej dyskusji.

Część osób zapisała się na polonistykę, byliśmy razem przynajmniej w sześciu z tej naszej klasy. Trzymaliśmy się razem. Powinniśmy zastanowić się, co tu zrobić wobec tej inwazji marksizmu. I okazuje się, że marksistowską doktrynę można tylko uprawiać. Co z tym zrobić, to był wielki szkopuł. Wydawało się nam, przynajmniej mnie, że należy zająć się literaturą dawną, że tam będzie najlepszy azyl dla uprawiania normalnych badań, normalnej polonistyki. Nie było jeszcze socjalizmu, nie było realizmu, nie było realizmu socjalistycznego. Nie pasowało. Zaczęliśmy pisać także do gazet. Zaczęliśmy publikować swoje prace roczne w uniwersyteckich czasopismach naukowych, więc zwrócono na nas uwagę, dostaliśmy propozycje. Było to bardzo mizerne, w granicach sztampy, aczkolwiek muszę powiedzieć, że ja ani razu nie zacytowałem świętego MELS-a (czyli Marks, Engels, Lenin, Stalin). Tego się wystrzegalem.

Mieliśmy ogromny wstręt do socrealizmu. Jeden z naszych kolegów, który sprawnie wierszował, napisał całe tony parodii socrealizmu, które czasem... Zresztą to było już na granicy narażenia się, bo zaprosił taką aktywistkę i jej to pokazał. Nie wiedziała, czy to jest na serio, czy to parodia. A ponieważ było ładnie zwersyfikowane, więc pochwaliła. Mogło być gorzej, gdyby uznała, że my to wyśmiewamy. Tak dalece sam socrealizm był parodią, że nawet trudno było odróżnić, co jest na serio, a co kpinką.

Bardzo źle wspominam ten okres. Jest bardzo ponury. UB do nas nie dotarł na szczęście, ale była też świadomość jego obecności. Szczególnie gdy któryś z moich starszych kolegów zniknął, nie było go dwa, trzy tygodnie, potem przychodził i zasłaniał sobie usta, chodził i mówił tak półgębkiem, a po jakimś czasie przychodził z nowym garniturem zębów, bo dostawał kartkę do dentysty i ten za darmo mu wstawiał. Natomiast wszelkie śledztwo – takie, po którym zwalniano – to było [śledztwo] z wybicciem wszystkich zębów. To było takie znaczące.

W tym czasie umarł Stalin. A nawet tuż przedtem Stalin napisał takie dziełko (nie wiem, czy pan słyszał – bo nazywano go potem żartobliwie „wielkim językoznawcą”, w sprawie marksizmu w językoznawstwie), w którym zaprotestował przeciwko traktowaniu przez gorliwych językoznawców języka jako klasowego. Język nie jest klasowy, a narodowy – powiedział. I to sprawiło, że otworzyły się furtki dla teorii literatury. A więc nie tylko literatura staropolska, ale jeszcze teoria... Można było. I sam ten marksizm z tą literaturą troszeczkę znormalniał. Stał się podobny do normalnej teorii literatury i w ogóle teorię literatury wtedy wprowadzono na studiach. Przedtem była zakazana.

Poza tym prowadziłem normalne życie młodego człowieka. Na pierwszym roku studiów (miałem wówczas 19 lat) poznałem osiemnastoletnią Irenę, swoją przyszłą żonę, z którą potem aż do jej śmierci byliśmy razem.

Można powiedzieć, że po tej książce Stalina o językoznawstwie coś się zmieniło... Później Stalin napisał artykuł korygujący marksizm, przywrócił prawa ekonomiczne, prawa naukowe w ekonomii. Przedtem ekonomia nie miała żadnych praw, więc Biuro Polityczne decydowało o tym, jaka ma być ekonomia. To było akurat dość dalekie od literatury, dotyczyło nas mniej niż to językoznawstwo. Natomiast to otworzyło drogę dla trzeciej kwestii. Malenkov, o którym wiadomo było, że będzie następcą Stalina – [czyli człowiek] – wygłosił w 1952 roku referat o schematyzmie w literaturze. I stwierdził, że to dobrze, że literatura socrealistyczna bardzo pięknie się rozwija, ale popada w schematyzm i z tym trzeba walczyć. To było takie hasło, które stworzyło możliwości atakowania literatury socrealistycznej. I naprawdę zaczęło się to od artykułu Józefa Flaszana *Nowy Zoil czyli O schematyzmie*, który ukazał się w „Życiu Literackim” w lutym 1952 roku. To był wielki atak na socrealizm.

Oczywiście wystąpił szereg wiernych marksizmowi z polemiką. To chyba była pierwsza prawdziwa dyskusja. I zaczęła się odwilż. Bardzo temu kibicowaliśmy.

Zaczęliśmy wtedy pisywać do „Życia Literackiego”, ale później i do innych czasopism. Na początku 1953 roku umarł Stalin. Malenkov wprowadził od razu nową politykę ekonomiczną, którą Rosjanie potem wspominali za [Leonida] Breżniewa z łezką w oku, że było tak dobrze. [Nikita] Chruszczow kontynuował ją zresztą, gdy wysadził z siodła Malenkowa i skupił władzę w swoim ręku. Z początku to była taka wielowładza, która skończyła się w końcu dwuwładzą [Gieorgija] Malenkowa i Chruszczowa: Malenkowa jako premiera i Chruszczowa jako pierwszego sekretarza.

W tym czasie przeniosłem się do Warszawy. W 1952 roku odebrano polonistycie na Uniwersytecie Łódzkim prawo do prowadzenia studiów drugiego stopnia. Był tylko niższy stopień, który nie nazywał się wtedy licencjatem. Można było przenieść się albo do Krakowa, albo do Warszawy. I w tym czasie moi koledzy, którzy przenieśli się już w roku 1951 do Warszawy i zaczęli pracować w IBL-u, załatwili mi propozycję pracy w Instytucie Badań Literackich.

Jedna rzecz sprzyjała nam wówczas – wyjątkowa łatwość kariery. Rozwijały się uczelnie, wycofano profesorów burżuazyjnych, były wolne miejsca i można było je zajmować. I tak jeszcze awansowaliśmy wolniej niż nasi starsi o 2, 3, 4 lata koledzy, którzy po 3–4 latach zostawali profesorami, jak Maria Janion, Henryk Markiewicz. My musieliśmy robić doktoraty, habilitacje. Weszliśmy w ten normalny tryb robienia stopni, ale w 1952 roku byliśmy jeszcze na studiach.

My też awansowaliśmy szybko. Trudności z pracą miałem już później. Wtedy było jeszcze dość łatwo. Kończyłem polonistykę na stopniu magisterskim, będąc już tak zwanym zastępcą asystenta. Jako niemagister nie mogłem być asystentem. Niezbyt dobrze czułem się wówczas w Instytucie Badań Literackich. Już po magisterium udało mi się przejść na Uniwersytet Warszawski. Wolałem mieć kontakt ze studentami i tak jakoś

wtedy dydaktyka mi odpowiadała, więc przeniósłem się tam, nie bez trudności. Ale w końcu udało mi się to załatwić.

Przyszły te miesiące decydujące, to znaczy dalsze rozgrywki w KC i usunięcie Malenkowa przez Chruszczowa. W końcu [miał miejsce] XX Zjazd, referat Chruszczowa i trzęsienie, wielkie trzęsienie ziemi, dla nas niezwykle zbawienne. Witaliśmy je entuzjastycznie. Było to trzęsienie ziemi dokonywane przez całe pokolenie ZMP-owskie, które z własnej inicjatywy rozwiązało swoją organizację. Gomułka nawet był niezadowolony z tego. Przesłaliśmy czuć takiego siedzącego tutaj na ramieniu nadzorcę. Zaczęliśmy uprawiać normalną naukę, dochrapywać się własnej metodologii, układać własne kierunki badawcze.

Oczywiście cieniem w tych pierwszych latach warszawskich były warunki życiowe. Zaczęły się po jakimś czasie wielkie trudności gospodarcze. Niemalże na progu głodu. W pewnym momencie zabrakło nawet kartofli. Był straszny przednówek, to był chyba 1953 rok. Ja wtedy, pamiętam, jeździłem z plecakiem na wieś do teściów i przywoziłem kartofle. Oni, hodując świnie, mieli prawo do jakichś tam zapasów. Chłopi odstawiali wówczas zboże i ziemniaki [chodzi o dostawy obowiązkowe z gospodarstw indywidualnych]. To jedno. A po drugie, warunki mieszkaniowe. Warszawa była zburzona i nie sposób tu było dostać mieszkania. Najpierw mieszkaliśmy w domu akademickim na różnych piętrach, bo w tym samym domu połowa [pokoi] była żeńska, a połowa męska. Na Grenadierów, na Grochowie. Potem wynajęliśmy sobie w Jaktorowie pod Warszawą pokój, który ciężko było ogrzewać. Zimy z lat 1952/53 i 1953/54 były okropne. Marziliśmy tam niesamowicie. W tym pokoju mieliśmy na szczęście jeszcze po rodzicach żony pierzynę, wielką, wniesioną przez nią w posagu, spaliliśmy pod tą pierzyną.

W 1954 roku udało się dostać malutki pokój przerobiony z dawnej kuchenki w wielopokojowym mieszkaniu, w którym mieszkali młodzi naukowcy z uniwersytetu, którzy nie mieli mieszkań. Łazienka była wspólna, jakiś tam piecyk i jakaś kuchenka też. Dostaliśmy najmniejszy pokój. Zmieściło się tam łóżko i stolik do tego. I pierwsza półka na książki, taka niewielka. I dopiero w 1955 roku, na jesieni, dzięki temu, że żona zaszła w ciążę, dostaliśmy pokój dla młodego naukowca. Tak mieszkaliśmy do 1960 roku, gdy dostaliśmy mieszkanie. Tam też były wspólne łazienki, wspólne kuchenki. Dawny hotel został przerobiony na dom. Pokoje były normalne, bardziej nadawały się do mieszkania. Za to kuchnia była maciupieńka. Prowadziło się tam bardzo miłe życie towarzyskie. Kąpało się też wspólnie, bo były kabiny. Stało się pod prysznicem i rozmawiało ze współprysznicowcami, niezależnie jakiej byli płci, z jakiego pokoju.

Takie były te warunki. Później już mieszkaliśmy w miarę normalnie.

W tej chwili gniotę się tutaj z powodu książek. Długi minipokój, do którego niko nie wprowadzam, to komórka wypełniona głównie książkami. Nie kupuję książek, ale strasznie dużo dostaję. A jak się dostaje z dedykacją, to nie wypada komuś dawać, więc biorę i przynajmniej obwąchuję.

Moja żona początkowo krótko pracowała w IBL-u, ale później zaproponowano jej asystenturę na Wydziale Dziennikarskim, w katedrze właśnie historii literatury.

Marcin Mitzner: Czemu właściwie polonistyka? To gdzieś nam umknęło...

Janusz Maciejewski: Ja właściwie z zamiłowania byłem i jestem historykiem. Wybierałem się na historię, ale w pewnym momencie, w ostatniej klasie, zaczęła mnie interesować także literatura. I pisanie zaczęło mnie interesować. I tak dogadaliśmy się z tymi kolegami, że idiemy na polonistykę.

Mój kolega Andrzej Walicki, zresztą wybitny naukowiec w tej chwili, chciał studiować filozofię, a filozofię zamknęli wtedy. Więc poszedł na rusycystykę, ale studiował także polonistykę. I wszyscy się znaleźliśmy właśnie na polonistyce, gdzie stworzyliśmy coś w rodzaju silnej grupy. Z tej szóstki naszej czterech zostało pracownikami naukowymi.

Marcin Mitzner: A ZMP na studiach?

Janusz Maciejewski: Były różne zebrania grupy podstawowej. Nie pamiętam już, to się nazywało komórka chyba. To były takie normalne zebrania, co jakiś czas, był porządek dzienny, prowadziło się je. One były krótkie. Natomiast wydziałowe, roczne, to były wielkie konferencje, zresztą z długimi nudnymi referatami, w tym dymie papierosowym. Były oczywiście prowadzone tam różne gierki. Były tam walki wewnętrzne między działaczami, wygryzali się wzajemnie, czasem padało na osobę zupełnie niewinną.

Pamiętam taki moment. Kiedyś do mojej żony przyczepiła się taka działaczka, która – jak okazało się później w 1956 roku – przeszła łagry i Syberię. Tam została złamana tak, że gdy wróciła tutaj, to stała się człowiekiem partii, nie tylko ZMP, ale i partii. Była taką działaczką, która nami dyrygowała. Dopiero później nam powiedziała o swoim życiorysie. W partii byli po prostu często całkowicie złamani ludzie. Tak samo jak wielu wybitnych akowców trafiało do UB, gdy ich złamano. Nie wytrzymywali tortur. Już Adam Pawlikowski, ten aktor, który grał w *Popiele i diamencie* Andrzeja Wajdy, to jest taki przypadek. Popętnił samobójstwo. W pewnym momencie to się wydało, że użył go. Złożył takie zeznania, jakie trzeba było. I wtedy okazało się, dlaczego stale wysiadywał w kawiarni Związku Literatów.

Ta koleżanka Kramarz się nazywała. Wyraźnie miała jakieś aspiracje w stosunku do mnie. Podrywała mnie. A ponieważ ja już wybrałem, więc wpadła w złość. Zaczęła strasznie dokuczać mojej żonie. A moja żona na zajęciach robiła na drutach (matka ją nauczyła), bo umiała, a było to wtedy bardzo przydatne... Ja chodziłem w sweterku zrobionym przez moją żonę przez wiele lat.

Więc strasznie ją napiętnowała ta Kramarz i nawet użyła wyrażenia „wróg klasowy” w jakimś referacie. Co jakiś czas piętnowało się kogoś, na ogół nie za sprawy polityczne, ale za jakieś tam cechy, bo tak wypadło. Na tym polegały zebrania ZMP. Trzeba było cały czas tego pilnować. Wtedy umówiliśmy się więc, kiedy było nas kilkoro i po kolei występowaliśmy. Atutem mojej żony było to, że ona miała bardzo dobre pochodzenie klasowe. I po kolei wychodziliśmy i mówiliśmy: Matysiakówna, wróg klasowy, córka chłopska, cztery hektary, czyli prawie biedniak. I tak po kolei. A ja zabrałem głos i powiedziałem: Tutaj różne sprawy omawiamy i słusznie, ale nie patrzmy na to, jak się uczą nasi koledzy. A zwłaszcza koledzy, którzy mają eksponowane stanowiska w naszej hierarchii. Jak można doprowadzić do tego, żeby koleżanka Kramarz dostała dwójkę ze starocerkiewnego.

Trzeba ją albo zwolnić z części obowiązków organizacyjnych, żeby mogła się uczyć, albo zorganizujemy pomoc ochotniczą w nauce dla koleżanki Kramarz. Takie były zagrywki. Oczywiście to się rozeszło, nie było konsekwencji.

Marcin Mitzner: A życie studenckie? Mówił pan o tych problemach lokalowych i żywieniowych... Ale co właściwie się robiło na studiach czy poza studiami? Co robił student?

Janusz Maciejewski: Były różne drobne grupy nieformalne i życie w tych grupach nieformalnych. Bywało tak, że się obserwowano. I wtedy były przesłuchania: dlaczego wy się spotykacie? Wiązało się to z pewnym ryzykiem. Życie stało się zatomizowane. Oficjalne życie to były zabawy, gdzie się najpierw tańczyło wyłącznie tańce radzieckie. I potem nagle [nastąpił] wielki przełom.

Rzeczywiście to była rzecz niesamowita. W 1950 czy w 1951 [właśc. 1948] powstał zespół „Mazowsze”. I nagle wszyscy zaczęli śpiewać po polsku pieśni „Mazowsza”. To było dozwolone. Radzieckie zostały odwieszane na bok. To jest jeden z przypadków działania takich właśnie przypadkowych rzeczy. Sygietyński założył zespół i nagle stał się popularny. Wszystko było bardzo pozytywne. To był lud. Zespół stał się popularny także w krajach socjalistycznych.

Marcin Mitzner: Jesteśmy przy studiach, powiedział pan o pisaniu, to może coś więcej o tym. Czy zaczął pan już pisać wcześniej, w liceum?

Janusz Maciejewski: Tak, ale to tylko tak dla siebie, do szuflady. Zaczęłem publikować na studiach recenzje i napisałem dwa wstępy. Była taka biblioteka popularnonaukowa, szkolna. Nazywała się Nasza Biblioteka; napisałem wstęp i przypisy do *Zemsty* Fredry i do *Powrotu pośta* Juliana Ursyna Niemcewicza. Pisałem do „Prac Polonistycznych”, to był taki rocznik wydawany przez Stefanię Skwarczyńską w Łodzi. W dwóch kolejnych rocznikach na studiach wydrukowałem rozprawkę o Tomaszu Kajetanie Węgierskim i artykuł *Zagadnienia literatury stanisławowskiej*. Później w IBL-u trafiłem, bo mi tak zaproponowano, zresztą nie miałem innego wyboru, do pracowni pozytywizmu i zacząłem pisać o Janie Zachariasiewiczu, napisałem o nim magisterium, nie publikowałem go nigdzie. Niezbyt mi się to później podobało. Natomiast zaraz po studiach napisałem rzecz, która mi się podobała, to było w 1956 roku. To jest wybór pism Prusa i obszerny wstęp do tego wyboru. Niestety cenzura zdjęła mi to w całości. Spóźniłem się i przyszło zaostrenie kursu. Tekst trafił do cenzury w końcu 1957 roku.

Jeden rozdział opublikowałem bez tego i nawet umieściłem go w takim moim wyborze, gdzie są wszystkie ważniejsze artykuły. Całości nie dałem i całość przepadała, PIW gdzieś zgubił. Wydał ten wybór, ale z innym wstępem. Ja już nie pamiętam, kto go napisał, ale to któryś z pracowników PIW-u pośpiesznie przygotował krótki wstęp, żeby nie zmarnować już gotowego tomu. Z samego tekstu [książki] zresztą też wyrzucono kilka artykułów z „Głosu”, które tam umieściłem. I od [tego momentu] mniej więcej liczy się to, co uznaję za własne. Z tego wczesnego okresu nic nie da się uratować. Aczkolwiek, jak powiedziałem, te teksty nie były takie dęte, marksistowskie,

bo starałem się mówić po prostu o rzeczach istotnych. Jednak były to na ogół bardzo marne książki, bo młodym, początkującym nie dawano dobrych książek do recenzji.

Marcin Mitzner: Bezpośrednio po studiach zaczął pan już pracować na uniwersytecie, tak?

Janusz Maciejewski: Nie, jakiś czas pracowałem w IBL-u, to znaczy ostatnie dwa lata studiów byłem zastępcą asystenta i zaraz potem, gdy już zrobiłem magisterium, przesunięto mnie na studia doktoranckie. Byłem uczestnikiem studium doktoranckiego. Nie napisałem doktoratu, co było powszechne wówczas, bo nie dało się napisać go w trzy lata. Przeszedłem wówczas na uniwersytet i tam zrobiłem doktorat, ale w IBL-u obroniłem go.

Marcin Mitzner: A kto wtedy uczył?

Janusz Maciejewski: Ja robiłem magisterium i doktorat u Krzyżanowskiego. Krzyżanowski był z tych starych uczonych, burżuazyjnych, jak to wtedy początkowo mówiono. I nawet w 1955 roku chyba czy 1956, zaproponowano mu, żeby zorganizował pracownię folklorystyczną, i zrobił to. Istniała przez jakiś czas.

Marcin Mitzner: A więc doktorat. Wtedy zaczął pan prowadzić zajęcia, tak?

Janusz Maciejewski: Zacząłem prowadzić zajęcia. To było skomplikowane. Krzyżanowski był moim promotorem w IBL-u. Natomiast na uniwersytecie zostałem asystentem profesora Nowaka-Dłużewskiego, który przyszedł z KUL-u i akurat wtedy domagał się asystenta, a uchodził za bardzo kłótliwego, nieznośnego człowieka, ale ja jakoś sobie dałem z nim radę. Byliśmy w dobrych stosunkach.

Marcin Mitzner: A później co się działo?

Janusz Maciejewski: Później przyszedł marzec 1968. I jeszcze w międzyczasie zostałem opiekunem Koła Naukowego Polonistów. Byłem oczywiście bardzo młodym pracownikiem naukowym, magistrem, później doktorem. Bardzo rozwinąłem to koło. W końcu lat 60. to był jeden z żywszych ośrodków nie tylko na uniwersytecie. Miałem dobrych ludzi, którzy przeszli przez to koło. Andrzej Mencwel, w tej chwili już na emeryturę idzie, był w pewnym stopniu moim uczniem. Małgorzata Szpakowska, Krzysztof Mętrak, a z innej parafii Maciej Zembaty byli moimi studentami i aktywnymi członkami koła.

Marcin Mitzner: Staram się odtworzyć sobie obraz tego życia akademickiego, bo to był w jakimś sensie azył wobec tego, co działo się w rzeczywistości.

Janusz Maciejewski: Bywały aresztowania wśród studentów, już mówiłem panu o tym, że jacyś koledzy znikali. Oczywiście zmieniało się to. Po 1953 roku już tego nie było albo to złagodniało, ale docierało do nas trochę tej grozy.

Przede wszystkim była wielka beznadzieja. Trzeba powiedzieć, że takim przebytym czegoś niezwykle barwnego, pozytywnego, był Festiwal Młodzieży w Warszawie. Koniec lipca i sierpień 1955 roku. Myślę, że od tego momentu zaczęła się pełna odwilż. Zjechała młodzież z całego świata, większość z Zachodu. Byli to komuniści bądź socjaliści, ale zachodni. Ubrani tak jak tam, mający nawyki tamtego świata. To było wielkie bratanie się, fraternizacja. Jeden z jej przejawów to wymiana koszul. My im dawaliśmy koszule ZMP-owskie z krawatami, oni dawali nam swoje, kolorowe. Gdy skończył się Festiwal,

zniknęły koszule ZMP-owskie, na zebrania ludzie zaczęli przychodzić w strojach festiwalowych. Koszule ZMP-owskie już nigdy nie wróciły.

Marcin Mitzner: Brał pan aktywny udział w Festiwalu?

Janusz Maciejewski: Brałem aktywny udział, aczkolwiek tylko w ciągu dwóch dni. Dokładnie w tym czasie urodził mi się syn. Ponieważ miałem rodzinę w Łodzi, żona rodziła w Łodzi, tak że byłem tam z żoną i później, gdy już urodziła, ale jeszcze nie wróciła do domu. Przyjechałem do Warszawy, żeby odebrać nasze pensje. I wtedy, przez dwa, może trzy dni brałem udział w tym festiwalu. W ogóle nie spałem wtedy. Całą noc chodziłem, chodziło się, rozmawiało, gestykulowało. Głównie gestykulowało, bo ze znajomością języków wtedy było strasznie. W moim pokoleniu do tej pory nie jest dobrze.

Marcin Mitzner: Jak to wyglądało? Czy pamięta pan jakieś wydarzenia z samego Festiwalu?

Janusz Maciejewski: [Pamiętam] ogromną ilość różnych tańców, ogromną ilość muzyki oraz wystrój Warszawy. Otóż wówczas ktoś, nie wiem kto, przekonał władze, że wystrój należy dać abstrakcyjny. I nie było tak jak poprzednio w Budapeszcie i w Berlinie, gdzie wymalowano krowy jak żywe na obrazach malarzy socrealistycznych, tylko była wyłącznie abstrakcja. Nagle okazało się też, że wszyscy słuchają wykładów prowadzonych przez starszych panów władających wszystkimi językami: angielskim, niemieckim, francuskim, włoskim. Pokolenie przedwojenne mówiło obcymi językami w przeciwieństwie do naszego. Goście byli zaskoczeni znajomością zachodniej literatury. Myślę tutaj głównie o naszej stronie, polonistycznej, literaturoznawczej.

Nawiązano wiele przyjaźni, potem utrzymywano korespondencję. A te dni były wszystkie słoneczne, piękne... Nagle po tym „Wielkim Poście” przyszedł wybuch radości, jasności, barwności. Jeszcze kolory w dodatku. Moda kolorowa wchodziła wtedy na Zachódzie. I u nas też. Z tym, że w latach 1954–55 były już ślady w literaturze: [Adama] Ważyka *Trzecia jesień* i [Jerzego] Andrzejewskiego *Wielki lament papierowej głowy*. Cenzura zdjęła go wprawdzie, ale stał się wydarzeniem bardzo głośnym, zwłaszcza że Andrzejewski na znak protestu podał się do dymisji jako redaktor „Przeglądu Kulturalnego”. I oto ten były marksista przeszedł do opozycji. Jan Kott wygłaszał wtedy bardzo opozycyjne wykłady na uniwersytecie (ale i w Związku Literatów ówczesnym), tłumy studentów do niego chodziły.

Arsenał, wystawa w Arsenale, też lipiec 1955 roku. Wychodzi nowe „Po Prostu”, wychodzi po przerwie wakacyjnej w zupełnie zmienionej szacie graficznej, nawet redakcja nie była tak bardzo zmieniona, ale to, co oni wyrażali, jawiło się jako jaskrawo odmienne. Zaczęło się pismo buntu. Buntu w imię socjalizmu oczywiście, ale buntu. Dla partii ci tak zwani „rewizjoniści” okazali większym problemem nawet niż przedstawiciele innych doktryn. To było bliższe i stąd poczucie autentycznego zagrożenia.

I jeszcze dyskusje, a także Kluby Młodej Inteligencji. Ja byłem członkiem Klubu Krzywego Koła. Brałem w jego życiu aktywny udział i regularnie, co czwartek, chodziłem na wszystkie zebrania. Ponieważ miałem prawo wprowadzania kogoś, bo byłem osobą bardzo cenioną, co rusz miałem telefon od jakiejś koleżanki: „Słuchaj Janusz, czy twoja

żona wybiera się w czwartek do klubu? Nie? No to może mnie weźmiesz?”. (śmiech) I brałem oczywiście. Zawsze byłem z jakąś dziewczyną, tak że powstały plotki.

Marcin Mitzner: A jak wyglądały te spotkania cotygodniowe?

Janusz Maciejewski: W salce w Staromiejskim Domu Kultury na pierwszym piętrze, wypchanej po brzegi, z ludźmi siedzącymi na podłodze, na oknie. Tematy zawsze bardzo chodliwe.

Marcin Mitzner: Na przykład? O czym tam rozmawialiście?

Janusz Maciejewski: O czym my nie rozmawialiśmy! Wszystkie tematy polityczne były na różny sposób wałkowane. Na przykład anarchosyndykalizm Abramowskiego. Żeby był socjalizm, ale żeby był także wolny rynek, że państwo rezygnuje z kierowania gospodarką. Gospodarka ma własne, z wyboru, kierownictwo, koordynujące, niezależne od rządu całkowicie, rządzą się same zakłady, rady robotnicze. I poddają się prawom rynku. Jeśli dobrze przedsiębiorstwo działa, to prosperuje, odnosi sukcesy, za każdym razem, gdy ktoś zaczyna pracować, staje się współwłaścicielem tego przedsiębiorstwa. Jeśli nie, to przedsiębiorstwo plajtuje i rozwiązuje się. Ludzie idą szukać gdzie indziej pracy, do lepszych przedsiębiorstw. Tak to sobie wyobrażano. Okazało się, że to też nie było dobre, ale to później. W Jugosławii zaczęto to realizować. Nie wyszło zupełnie.

Marcin Mitzner: Jaki był główny cel tych spotkań? Czy oprócz dyskusji było coś jeszcze?

Janusz Maciejewski: Życie towarzyskie przede wszystkim. Na dole w Staromiejskim Domu Kultury był Klub Largactil, nocny lokal po prostu działający na zasadzie klubu, czyli zamknięty, tylko z kartami wstępu. Karty wstępu mieli młodzi pisarze i plastycy, aktorzy, muzycy, architekci i członkowie Klubu Krzywego Koła, młodzi naukowcy, o ile byli członkami Klubu. I tutaj pozycja towarzyska takiego członka Klubu Krzywego Koła i Klubu Largactil rosła, bo znów można było wprowadzać. Ja to nawet wprowadziłem kiedyś trzy dziewczyny, bo przyjechały moje siostry z Gdańska, więc wprowadziłem żonę i siostry obie, czyli trzy panie Maciejewskie, jak żartowaliśmy. Jedną z nich bardzo Stachura podrywał, ona do dziś wspomina to, jak była wtedy maglowana przez wielkiego poetę i prozaika.

Marcin Mitzner: A skąd elitarny charakter całego przedsięwzięcia? Z tego, co pan mówi, bardzo trudno było tam się dostać.

Janusz Maciejewski: Ze względu na miejsce, przede wszystkim, ciasne. I tak pękały w szwach i sala klubowa, i piwnice. Oczywiście z reguły po zebraniach Klubu Krzywego Koła schodziło się na dół i tam kontynuowało gdzieś głęboko w nocy jeszcze dyskusje klubowe. Nie było tam żadnej orkiestry, ale zawsze ktoś grał. Był mały dancing, tańczyło się. I piło się wina, wina węgierskie wtedy zaczęto sprowadzać, najbardziej popularny był Egri bikavér. Było pianino i była gitara do dyspozycji, zawsze znalazł się ktoś, kto grał na gitarze albo na pianinie, akompaniował. Taka samoobsługa.

Marcin Mitzner: Bogate życie towarzyskie...

Janusz Maciejewski: Życie towarzyskie, tak. I te lata po 1955 roku już, rok 1956 cały czas, jest to okres mojej właściwej młodości, bo ani kiedy pracowałem w fabryce

w czasie okupacji, ani kiedy znalazłem się znów w ławie szkolnej i zostałem upupiony, nie była to młodość. Ani kiedy byłem w ZMP na studiach i podlegaliśmy temu całemu drylowi. To wszystko wydawało się bardzo nieestetyczne, takie brzydkie, takie jakieś obrzydliwe, poczynszy od poezji socrealistycznej, a skończywszy na malarstwie i w ogóle całej sztuce socrealistycznej, na stosunkach międzyludzkich, od których była ucieczka tylko w takie małe środowiska, gdzie można było mówić o prawdziwych problemach. W pewnym momencie wylało się to w kręgu młodej inteligencji, w każdym najmniejszym miasteczku w Polsce.

Marcin Mitzner: A w Warszawie oprócz Klubu Krzywego Koła były jeszcze jakieś?

Janusz Maciejewski: Był Klub Inteligencji Katolickiej, były kluby [inne], ale one szybko ginęły. Władzom nie bardzo się podobały, ale właściwie to one w latach 1958–1959 porozwijały się same. Napęd się skończył, ludzie zaczęli prowadzić normalne życie. To były kluby jednego pokolenia. To nie było tak, że administracja zamykała, administracyjnie został zamknięty Klub Czerwonego Pomidora w Krakowie. To było nawiązanie do dowcipu, że Polska jest jak rzodkiewka, na wierzchu czerwona, w środku biała. A pomidor jest na wierzchu czerwony i w środku czerwony, a my chcemy być czerwoni. Ale czerwoni w sposób rewizjonistyczny, a nie stalinowski.

Marcin Mitzner: Czy te kluby powstawały oddolnie?

Janusz Maciejewski: Oddolnie. To znaczy Klub Krzywego Koła podobno powstał według koncepcji [Jakuba] Bermana, który wymyślił, żeby dla kontrolowania tego, co ludzie mówią, powołać kluby. I oni powołali Klub Krzywego Koła. Pierwszym prezesem był Stefan Król, ale bardzo szybko zrobiono wybory, pozbyto się go i wybrano Jana Strzeleckiego. Potem był Jan Józef Lipski, potem przez trzy kadencje [Aleksandra] Małachowskiego, na końcu [Paweł] Jasienica. Ale duszą zawsze był Lipski.

Marcin Mitzner: A pana żona? Mówił pan, że poznaliście się już podczas studiów. Czy mógłby pan coś więcej opowiedzieć?

Janusz Maciejewski: Poznaliśmy się się po prostu w bibliotece, kiedy siedzieliśmy obok siebie i okazało się, że trzeba czytać razem, bo było za mało egzemplarzy. Zaczęliśmy razem czytać podręcznik do starocerkiewnego. Wtedy zwróciłem na nią uwagę, później zaczęłam jej towarzyszyć. Przyjęła to z przyjemnością. Jak mi potem wyznała, ona już wcześniej zwróciła na mnie uwagę, ale nie wypadało, żeby dziewczyna zaczęła.

Była pochodzenia chłopskiego, jej ojciec miał cztery hektary [ziemi], czyli niedużo. Taki mały średniak. Biedniak był poniżej 2. Od 2 do 20 to średniak, a powyżej to już kułak, wróg klasowy. Ale to były bardzo dobre ziemie i te cztery hektary w pobliżu Częstochowy to właściwie było tak jak 20 na Mazowszu, jeśli chodzi o wydajność. Chcę powiedzieć, że [ojciec żony] był zasobnym gospodarzem i jeszcze budowniczym... To zdarzało się często, trzeba było budować na wsi, nie brano ludzi z miasta. Wobec tego co jakiś czas miał dodatkowy zarobek jako rzemieślnik. Był to człowiek zamożny i kulturalny, moi teściowie byli bardzo kulturalnymi chłopami, ocytanymi i takimi, którzy radzili sobie w sprawach praktycznych. Matka żony szyła, była krawcową jednocześnie. Mieli przed wojną bardzo dobrego „obszarnika”, ziemianina, dwór. „Obszarniczka”

organizowała różne kursy, na przykład kurs krawiectwa, kursy cukiernictwa. Teściowa wspaniałe ciasta piekła... I wszystkie swoje dzieci wykształciła. Nauka wtedy była bezpłatna. Oni sami poszli, bo był taki pęd...

Jeszcze coś dopowiem do sytuacji w latach 60. na uniwersytecie. Nie wiem, czy ja mówiłem o życiu literackim w tym okresie. No więc w latach 60. zacząłem być bardzo czynny, aktywny jako krytyk literacki, gdy związałem się ze „Współczesnością”: dwutygodnikiem, później tygodnikiem. Był to tygodnik młodych, redagowany przez różnych redaktorów, zmieniających się szybko, bo na ogół byli zdejmowani z różnych powodów. Wszedłem do „Współczesności” w okresie jej największej świetności, w 1959 roku. Ta świetność zaczęła się w okresie, gdy na naczelnego został wybrany Stanisław Grochowiak, z którym zacząłem współpracować, pisząc tam liczne artykuły, niektóre skandalizujące, niektóre mniej, wiele zwyczajnie rzeczowych.

Wyrażałem tam swoje poglądy, które, powiedzmy, głównie dotyczyły poezji współczesnej, dość szybko stałem się kimś o znanym nazwisku, zaprzyjaźniłem się z grupą młodych krytyków, z którymi niekiedy polemizowałem. Na przykład z moim trzy lata starszym kolegą Jerzym Kwiatkowskim z Krakowa toczyły się bardzo ostre polemiki dotyczące kształtu poezji współczesnej, on był zwolennikiem poezji Harasymowicza, ja byłem przeciwnikiem. Zgadaliśmy się co do wysokiej oceny Białoszewskiego i Herberta, aczkolwiek zajmowali się głównie innymi autorami – Harasymowiczem, Nowakiem, innymi nie. Z Michałem Głowińskim zaprzyjaźniłem się swego czasu. Ta przyjaźń trwa do dnia dzisiejszego. Zaprzyjaźniłem się bardzo serdecznie z Jackiem Łukasiewiczem z Wrocławia (to też trwa do dnia dzisiejszego), który był z kolei przyjacielem Grochowiaka jeszcze z czasów szkolnych.

Na ten temat dużo można by jeszcze mówić, bo wszedłem także w życie młodoliterackie, brałem udział w różnych wiosnach, jesieniach poetyckich, festiwalach poezji, festiwalach Czerwonej Róży. Lata 60. to okres burzliwego życia literackiego, jednocześnie także naukowego. Robiłem wtedy doktorat, obroniłem go w 1965 roku, a w 1973 wydałem go pod [zmienionym] tytułem *Przedburzowcy*; jako doktorat miał inny tytuł. I, powiedzmy, jest to taka książka, do której ciągle wracam, z moich książek miała największą liczbę odwołań. W latach 60. narastał także nowy kryzys polityczny, kończył się okres naszej małej stabilizacji, jak to nazwano go, ściągając nazwę z tytułu sztuki Różewicza. Zaczęły się znów walki frakcyjne, które także znajdowały swoje odgałęzienie w życiu politycznym, ale także w życiu kulturalnym. Bardzo aktywna była grupa młodych działaczy partyjnych, tak zwanych Partyzantów, którym przewodził Moczar – wyraźna była ich potrzeba dojścia do władzy w partii.

Tak się złożyło, że Związek Radziecki opowiedział się w konflikcie izraelsko-arabskim po stronie Arabów, po „wojnie sześciodniowej” (w czerwcu 1967 roku) w ogóle zerwał stosunki dyplomatyczne z Izraelem, a wraz ze Związkiem Radzieckim [zrobiły to] wszystkie kraje obozu, łącznie z Polską. Dało to także pożywkę odżywającym nastrojom antysemitycznym w społeczeństwie, aczkolwiek przesadnie się to wypunktowuje. Spółczesność w swojej masie było filosemickie, wtedy bardzo zdecydowanie kibicowało Żydom,

a nie Arabom w tym konflikcie, natomiast stare resentymy dotyczące żydokomuny wykorzystali w walce partyjnej moczarowcy, ponieważ wszyscy oni byli czysti rasowo, to walczyli z „żydokomuną”, czyli z tymi komunistami przedwojennymi pochodzenia żydowskiego, posądżając ich zupełnie absurdalnie o sympatie syjonistyczne. Oczywiście komunista był przeciwieństwem syjonisty. Żydzi, którzy byli syjonistami, nie byli komunistami i vice versa.

W komunie Żydzi mieli w ogóle rozplynąć się w klasie robotniczej i nowej klasie ludzi pracy, zerwać, że tak powiem, z tradycjami żydostwa. Można powiedzieć, że żydokomuna była antyżydowska, w równym stopniu jak oczywiście była antyrosyjska, antypolska, przeciwna wszelkim nacjonalizmom. [Mówiąc] antypolska, mam na myśli Polskę rozumianą nacjonalistycznie.

Ponieważ my w Kole Polonistów, którego byłem opiekunem, bardzo wyraźnie manifestowaliśmy sympatie rewizjonistyczne i potępialiśmy antysemityzm, to skończyło się moim wyrzuceniem z uniwersytetu w 1968 roku. Oczywiście brałem udział we wszystkich demonstracjach studenckich, byłem na strajkach studenckich, także na strajku okupacyjnym nocnym. Całą noc okupowaliśmy uniwersytet.

Marcin Mitzner: Chciałbym się o coś dopytać, co mnie bardzo zaciekało. Mówił pan o tym, że był ten narastający konflikt w latach 60., i to było widać, ale czy istniało jakieś jego przełożenie, takie bezpośrednie, na pana życie czy w ogóle życie środowiska, oprócz tych późnych działań?

Janusz Maciejewski: Było takie, że nasz szef na uniwersytecie, zresztą bardzo złej stawy, Jan Zygmunt Jakubowski, profesor, zdecydowanie opowiedział się po stronie Moczara.

Marcin Mitzner: Jaką to miało formę?

Janusz Maciejewski: Wyrzucił z uniwersytetu wszystkich, których posądzał o przeciwny poglądy.

Marcin Mitzner: Ale czy wcześniej były już jakieś znaki, że coś będzie się działo, czy widać było coś takiego?

Janusz Maciejewski: Tak, były stopniowe czystki w partii, na przykład ministra [Władysława] Wicheń, który był pochodzenia żydowskiego, usunięto jeszcze w 1964 roku. Zastąpił go właśnie Mieczysław Moczar jako minister, przedtem był wiceministrem. Moczar oczywiście natychmiast całkowicie usunął wszystkich Żydów z aparatu bezpieczeństwa. To było zabawne, bo duża ich część z MSW szła do telewizji. Musieli dostać jakąś posadę, później, gdy już sami się narazili, to na ogół emigrowali, wyjeżdżali z kraju.

Marcin Mitzner: To działo się tylko gdzieś tam w sferach politycznych, na poziomie jednostkowym, w pana życiu, nie było widać takich rzeczy?

Janusz Maciejewski: Tak, ale o tym się nie mówiło. O tym się nie mówiło. Byliśmy wielkimi przeciwnikami antysemityzmu, bardzo ostro reagowaliśmy na wszelkie wypowiedzi niektórych naszych kolegów, ale tylko niewielu, bo właściwie wówczas mimo dość powszechnych manifestacji, które pokazywano w telewizji, te wypowiedzi były organizowane przez władze. Społeczeństwo, inteligencja była zdecydowanie w tym czasie,

po październiku jeszcze, nastawiona filosemicko, nawet – można powiedzieć – przeciętni ludzie [myśleli]: „Oto nasze Żydki biją tych ruskich Arabów”. Było wiadomo, że Rosja popiera Arabów. Chodziła legenda, że generał [Mosze] Dajan, ten główny zwycięzca, to jest polski Żyd i polski oficer. Nie, on już był urodzony w Palestynie. Chodziły różne pogłoski. Wielu [było] Polaków pochodzenia żydowskiego, którzy wyszli z Armią Andersa i zostali w Izraelu, a potem włączyli się w izraelski ruch patriotyczny, ale oczywiście nie Dajan.

Marcin Mitzner: A w 1967 roku miała miejsce premiera *Dziadów*...

Janusz Maciejewski: Tak. Do tego wszystkiego doszła jeszcze sprawa *Dziadów*...

Marcin Mitzner: Był pan na premierze?

Janusz Maciejewski: Byłem. Ale to nie była pierwsza premiera, to było trzecie przedstawienie. Włączył się w to [Kazimierz] Dejmek, bo trzeba było czynny z okazji rocznicy rewolucji październikowej podejmować, więc zgłosił inscenizację *Dziadów*. Przygotował ją i zaczął się problem, bo ludzie fanatycznie oklaskiwali wszystko, co dotyczyło Rosji w jakiś sposób, a to się nie podobało władzom i zaczęły najpierw ograniczać przedstawienia i w końcu je zdjęto

Marcin Mitzner: Czy kiedy był pan na tym przedstawieniu, rzeczywiście panowała tam jakaś szczególna atmosfera?

Janusz Maciejewski: Tak. Zwłaszcza że kiedy tam byłem, to już wiadomo było, że przedstawienie jest zagrożone. Na ostatnim przedstawieniu w ogóle uformował się pochód i poszedł z kwiatami pod pomnik Mickiewicza na Krakowskie Przedmieście.

Marcin Mitzner: I czy ono było rzeczywiście takie kontrowersyjne, czy to raczej wynikało z kontekstu?

Janusz Maciejewski: To nie dotyczyło polskich komunistów w gruncie rzeczy, ale Rosjan. Jest to dzieło antyrosyjskie przecież. Kończy się oczywiście wierszem *Do przyjaciół Moskali* i na koniec Dejmek dał ten wiersz (Holoubek go recytował), i oczywiście najbardziej antyrosyjskie sformułowania włożył w usta Rosjan, bo to rosyjski oficer mówi:

„Nie dziw, że nas tu przeklinają,
Wszak to już mija wiek,
Jak z Moskwy w Polskę nasylają
Samych łajdaków stek”. (*śmiech*)

Marcin Mitzner: Ale czy według pana Dejmek był tego świadomy?...

Janusz Maciejewski: Nie, w moim przekonaniu absolutnie nie. On chciał dobrze wystawić Mickiewicza. Świadome akcenty antyrosyjskie miały następne *Dziady* [Konrada] Swinarskiego w krakowskim Teatrze Starym, ale to już było po awanturze z *Dziadami* Dejmka. Władze bały się już tykać i pozwoliły Swinarskiemu robić wszystko, co chciał. Tamte były ostentacyjnie antykomunistyczne, poczwwszy od akcentów religijnych (od tego wielkiego portretu Matki Boskiej Ostrobramskiej, który stał w foyer [i był widoczny, gdy] wchodziło się na to przedstawienie i tak dalej), skończywszy na wszystkich sformułowaniach patriotycznych, a przecież takich było mnóstwo w *Dziadach*. Władze stchórzyły po prostu, bały się reakcji Rosji, bały się nasilenia reakcji antyradzieckich i zachowały się

jak struś, schowały głowę w piasek, czyli zdjęły *Dziady*. Później zaczęły się już hece, bo oczywiście nie wojna sześciodniowa, ale zdjęcie *Dziadów* wywołało rozruchy. ósmego marca i rewolta studentów to był protest przeciwko zdjęciu *Dziadów*, protest przeciwko atakom na literatów, wyraz solidarności ze środowiskiem literackim. Oddział Warszawski Związku Literatów zażądał zwołania nadzwyczajnego zebrania i oto Iwaszkiewicz je zwołał, a sam w nim nie uczestniczył, wyjechał do Włoch, co przydało się potem, bo on jakby potem ratował tych atakujących, chociaż nie wszędzie mógł. On też schował głowę w piasek. Natomiast sam przebieg zebrania był ściśle obserwowany przez władze, wszystko było nagrywane i od razu odsłuchiwane w KC i już na drugi dzień przyszedł atak straszliwy.

Marcin Mitzner: A pan był tam?

Janusz Maciejewski: Byłem.

Marcin Mitzner: Czy mógłby pan coś więcej o tym powiedzieć, jak to przebiegało?

Janusz Maciejewski: Oczywiście trudno nie protestować przeciwko zdjęciu *Dziadów*. W związku z tym uchwalono dwa protesty. Jeden bardzo ostrożny, który wysunęła, zaproponowała organizacja partyjna, ale to też był protest przeciwko zdjęciu *Dziadów*; i drugi ostrzejszy, który zgłosił [Andrzej Kijowski], a poparła go cała opozycja, oczywiście zdecydowaną większością głosów przeszedł ten drugi. Ale najważniejsze były wypowiedzi (tego nie będę streszczał, bo one są znane) [Leszka] Kotakowskiego, [Stefana] Kisielewskiego, [Antoniego] Stonimskiego, [Pawła] Jasienicy. Bardzo ostre. Rzeczywiście to zebranie odbyło się w atmosferze pełnej swobody.

Marcin Mitzner: Ale czemu tak się stało, przecież było chyba widoczne, że władza na to nie pozwoli?

Janusz Maciejewski: To był bunt. To był protest, nikt się nie liczył z niczym, po prostu postawa moralna nakazywała zaprotestować zdecydowanie. Wszyscy, którzy mówili, byli świadomi, że mogą ich dotknąć represje, ale to już była wojna, można powiedzieć. Żołnierz też liczy się z tym, że zostanie zabity. To była wojna w imieniu imponderabiliów, że użyję tego słowa.

Mieliśmy już dosyć cenzury, dosyć okrajania arcydzieł literatury. Oczywiście była jakaś nadzieja, że znajdzie się ktoś we władzach... Już wiadomo było, że tam toczy się walka. Liczyliśmy nawet, że władze, że różne osoby, jak [Edward] Ochab, jak [Józef] Cyrankiewicz, na którego liczyłem jako na trochę liberalniejszego, że [Władysław] Gomułka jakoś poskromi tych drugich, powiedzmy tych „młodych” działaczy, którzy pod hasłem walki z syjonizmem dobijali się do władzy.

Okazało się, że nie. Gomułka został u władzy, ale przejął hasła „moczarowców” i wszystko poszło według receptury Moczara, z tą tylko różnicą, że personalnie Moczarowi nie udało się przejąć władzy. Gomułka wykiwał go na krótką metę, przejmując jego hasła, ale na krótko, bo w grudniu 1970 doszedł ktoś trzeci. [Edward] Gierek wtedy wyskoczył. Tak jak zwykle bywa, gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta.

Brałem udział w zebraniu Związku Literatów, później wyjechałem z synem, który był po ciężkiej chorobie, na dwanaście dni do Zakopanego, żeby troszkę się zrehabilitował, zrekonstruował trochę zdrowie. Wróciłem 12 marca i od razu włączyłem się w ruch

studencki. Natomiast w wydarzeniach ósmego marca nie brałem udziału, byłem jeszcze w Zakopanem.

Marcin Mitzner: No właśnie, prawda, ale słyszał pan coś o tym czy była blokada informacji?

Janusz Maciejewski: Słyszałem, informacja natychmiast była. Prasa na drugi dzień od razu zaczęła od dzikich ataków. Zaczęły „Kierunki” PAX-owskie, to znaczy natychmiast, już następnego dnia, w którym skończyło się nad ranem to zebranie, już ukazał się pamflet na Związek Literatów, a później codziennie szły nowe ataki.

Marcin Mitzner: Jak to wyglądało, gdy wrócił pan do Warszawy?

Janusz Maciejewski: Odbywają się normalne zajęcia, ale jest atmosfera podniecenia, gdzie indziej wiece, gdzie indziej wybory, poprzedni komitet strajkowy nominuje nowych, bo w nocy zawsze byli aresztowani członkowie poprzedniego. Nowe kierownictwo już było. Uchwały, petycje, odezwy, w pewnym momencie decyzja, że strajkujemy, i oczywiście za uniwersytetem poszły inne uczelnie. Najpierw w Warszawie, a potem w całym kraju. Łącznie nawet z niedużymi ośrodkami, jakieś tam szkoły podyplomowe, jak w Elblągu, w Słupsku, robiły strajki, demonstracje.

Oczywiście była ogromna liczba aresztowanych, także naszych studentów, częściowo też kolegów.

Marcin Mitzner: A co działo się z panem w tym czasie?

Janusz Maciejewski: Odbываły się normalnie zajęcia. W pewnym momencie ten cały ruch wygasł, to już była beznadzieja, zwłaszcza po tej debacie sejmowej, podczas której zaatakowano [Jerzego] Zawieyskiego, gdy wystąpił z petycją od koła „Znak”. Wtedy już było widać, że nastąpiło pełne wyczerpanie sił i powoli wracano do normalnego życia. Nową pobudką mogła być Czechosłowacja, ale inwazja nastąpiła w sierpniu, kiedy nie było studentów i kiedy nie było także literatów, bo wszyscy rozjechali się na wakacje, więc pojawiły się tylko listy pojedyncze [Jerzego] Andrzejewskiego, [Sławomira] Mrożka i ten protest [Ryszarda] Siwca.

Marcin Mitzner: Z tego, co wiem, to na polonistyce zwłaszcza, ale chyba też na filozofii, były bardzo duże zmiany kadrowe, tak?

Janusz Maciejewski: Tak, te zmiany nastąpiły we wrześniu. Rozwiązano prawie całkowicie studium doktoranckie. Wyrzucono doktorantów. Wyrzucono część asystentów, część adiunktów. Profesorów nie ruszano, poza tymi, którzy byli dwuetażowcami, czyli [Maria Renata] Mayenowa i [Stefan] Żółkiewski odeszli wtedy z polonistyki. Natomiast czystka była – im niżej, tym większa. Oczywiście znalaziono sobie tam jakąś nową kadrę wśród tych najmłodszych.

Marcin Mitzner: Docenci marcowi...

Janusz Maciejewski: ... Z których nie mieli wiele korzyści, bo oni w 1980 roku wcale ich nie poparli. I my, wszyscy wyrzuceni, zostaliśmy przeproszeni i przyjęci z powrotem na uniwersytet. To już załatwiła „Solidarność”. Tak że ja potem uczyłem razem z tymi, którzy mnie wyrzucali.

Marcin Mitzner: Wyrzucili pana z uniwersytetu i co się stało dalej?

Janusz Maciejewski: Byłem bezrobotny przez rok. I oczywiście koledzy ze Związku Literatów załatwili mi stypendium socjalne, taką pomoc. Wszyscy prawie wyrzuceni z pracy w Związku Literatów mieli to załatwione, to znaczy u nas totalitaryzm nie był szczelny po 1956 roku.

A ponieważ Związek Literatów był jedną z nielicznych organizacji *par excellence* demokratyczną, wybory były zupełnie demokratyczne. Tylko tyle, że opozycja wiedziała, że musi iść na jakieś ustępstwa, czyli musi wybrać pewną liczbę partyjnych do władz, czynnych, ale uczciwych partyjnych. I ci uczciwi partyjni później załatwiali stypendia wyzuconym kolegom, sami zostając w partii i nie wychylając się.

Nie przymierałem więc głodem. Stypendium było trochę niższe od pensji. Po roku dostałem w IBL-u zastępstwo za kolegę, który wyjechał za granicę i poprosił o urlop bezpłatny. Potem drugie zastępstwo. Wreszcie za Gierka w 1971 roku załatwili mi pełny etat. Byłem tam do przeniesienia na emeryturę, bo w 1980 roku ja się nie zdecydowałem na pełny powrót na uniwersytet. Powiedziałem, że dziękuję za rehabilitację, ale wobec tego proszę o pół etatu. Pół etatu mogłem mieć dodatkowo obok etatu IBL-owskiego. Wtedy były ustawy, że całego etatu nie można było mieć jako drugiego.

Potem miałem te półtora etatu już przez okres stanu wojennego i „Solidarności” i oczywiście w Polsce niepodległej, do emerytury. Na uniwersytecie było potem bardzo smutne życie. Ktoś musiał prowadzić zajęcia, więc nieco potulniejsi zostali, ale to nie znaczy, że to byli ludzie nieuczciwi czy powiedzmy... mający inne poglądy, tylko nie byli skłonni do wychylania się. Ja potulny nie byłem, więc... więc padłem ofiarą czystek. W każdym razie na wydziałach humanistycznych one były rzeczywiście duże. Największe na filozofii i na socjologii, potem chyba właśnie na polonistyce, potem na historii.

Co ja wtedy robiłem? Potem zacząłem pisać. Początkowo nikt nie chciał przyjmować do druku. Wszyscy byli przekonani, że jest zapis na moje nazwisko. W „Polityce” zdecydowali się wydrukować mój tekst, załatwił to kierownik działu kulturalnego, Tadeusz Drewnowski, wówczas członek partii. Na kolejnym zakręcie historii złożył legitymację partyjną. Mój artykuł ukazał się na pierwszej stronie „Polityki”. I nagle rozdzwoniły się telefony. Wszyscy zaczęli mi proponować współpracę.

Marcin Mitzner: (śmiech)

Janusz Maciejewski: Przez jakiś czas dość czynnie współpracowałem między innymi z „Polityką”. A potem, gdy dostałem etat w IBL-u i miałem obowiązki etatowe w pracy naukowej, to oczywiście ograniczyło się to, bo w pośpiechu ukończyłem habilitację i broniłem pracy habilitacyjnej. Później czekałem na docenturę – nie dostawałem docentury przez kilka lat. I dopiero w 1980 roku, dokładnie w grudniu 1980 roku, przyznano mi ją po bardzo ostrym liście „Solidarności” IBL-owskiej w sprawie tych kolegów, którym nie przyznawano stopni. I tak zostałem docentem.

Potem wystąpiłem o profesurę, potem znów czekałem cztery lata, aż do jesieni 1989 roku. Gdy zostałem profesorem, już belwederskim, i w końcu potem, to już po trzech latach chyba czy czterech, profesorem zwyczajnym, nie miałem już żadnych kłopotów

z awansami. Poprzednio były one opóźnione o kilka lat. Moi koledzy partyjni, którzy mnie wyrzucali, zostali mianowani docentami. Później, gdy zrobili habilitację, natychmiast zostawali profesorami, a wkrótce potem profesorami zwyczajnymi. W ogóle w PRL-u awans nie był uniemożliwiony, czyli nie było tak jak z [Michailem] Bachtinem w Związku Radzieckim, któremu nie pozwolono zdobyć tytułu profesora i miał kłopoty z publikowaniem... A teraz są kłopoty z atrybucją autorską, bo on wydawał pod nazwiskami przyjaciół.

Po marcu nastąpił bardzo ciężki okres. Nie było specjalnych represji, ja nie byłem aresztowany. Powiedzmy, w ogóle literatów nie aresztowano. To studentów wtedy masowo aresztowano lub „zsyłano” do wojska. Duża część studentów, których zesłano karnie do jakichś zakładów pracy, wyrzucono z wilczym biletem, ujawniła się później jako działaczka „Solidarności”.

I w ogóle toczyło się tu normalne życie.

Żona nie została wyrzucona z uniwersytetu, pracowała na [studiach] zaocznych. Tam nie było oczywiście żadnych demonstracji, więc jakoś to przetrzymała w tym azylu. A syn dorastał. Po maturze poszedł na studia niehumanistyczne. Elektroniczne. Jest dzisiaj ekonometrą i informatykiem.

Po 1968 oczywiście miałem troszkę utrudnione publikowanie. Zbioru moich prac krytycznych nie przyjęto do druku. W 1965 złożyłem go w wydawnictwie. Leżało, leżało i odmowę uzyskałem chyba w 1968 roku. I nie wydałem tej książki do tej pory. Nie mogłem się jakoś zebrać, żeby to zrobić. Natomiast mój doktorat ukazał się z ośmioletnim poślizgiem, w 1973 roku. To są ci *Przedburzowcy*, o których mówiłem.

A wcześniej wydałem taki tom zbiorowy analiz literackich, do którego namawiałem kolegów. Sam napisałem do niego trzy analizy. Nazywa się: *Czytamy wiersze*. Był bardzo popularny, miał już w latach siedemdziesiątych trzy wydania w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej, z tym że trzecie alfabetem Braille’a, dla ociemniałych.

To troszkę takie uboczne wydawnictwo ZSL-owskie, zresztą nieobserwowane. Trafiałem tam akurat na redaktorów, którzy chcieli, to im się po prostu podobało jako książka, nie ze względu na jakieś kumoterstwa. Aha, i jeszcze jedną rzecz zrobiłem. W międzyczasie przygotowałem (kilkanaście lat nad nią pracowaliśmy) *Antologię poezji polskiej – Od „Bogurodzicy” do Baczyńskiego*. To zrobiliśmy wspólnie ze Staszkiem Grochowiakiem. Zaczęliśmy nad tym siedzieć w 1962 roku, skończyliśmy w 1968. PIW przyjął, ale powiedział, że nie będzie posyłał w tej chwili do druku, nie tylko ze względu na autorów, których wybraliśmy... Grochowiak nie był spalony, tylko ja. Potem na szczęście nagle zabłyśnięto zielone światło. To była ta mała odwilż na początku rządów Gierka, choć był protest ambasady radzieckiej i już niewiele brakowało, a antologia poszłaby na przemiał.

Marcin Mitzner: A protest czemu?

Janusz Maciejewski: Ze względu na dwa wiersze, które się nie podobały.

Marcin Mitzner: A jakie?

Janusz Maciejewski: Wiersz Anatola Sterna *Do przyjaciela* dedykowany Brunonowi Jasieńskiemu. Ale nie było tam nigdzie wymienione jego nazwisko, tylko pojawiała się nazwa Kołyma.

Marcin Mitzner: A drugi?

Janusz Maciejewski: A drugi to była *Litania* Józefa Wittlina, pisarza emigracyjnego. Taki gorzki wiersz, powiedzmy, pisany w późnych latach trzydziestych przeciwko temu wszystkiemu, co w Europie toczy się i dzieje. Hitlerizm w Niemczech, wojna domowa w Hiszpanii, faszyzm we Włoszech, Berezka Kartuska w Polsce i to, co dzieje się po śmierci Marszałka. Między innymi procesy moskiewskie były tam wymienione. Cenzor to przeczytał po prostu. W sumie cenzura zdjęła nam parę wierszy. Najpierw zdjął zresztą sam PIW. Natomiast my nie cenzurowaliśmy niczego – doszliśmy do wniosku, że skoro istnieje cenzura, to nam zdejmie. No i udało się nam. Cenzura zdjęła *Odę do października* Miłosza, bo jej się wydawało, że to o Październiku 1956 roku, który wtedy był niecenzuralny. A to jest oda do jesieni po prostu, do miesiąca października, ale cenzura była czujna.

Marcin Mitzner: To jest sam początek lat siedemdziesiątych?

Janusz Maciejewski: Tak.

Marcin Mitzner: Wspominał pan już na początku, że zaczął współpracować z opozycją, czyli Komitetem Obrony Robotników, tak? I później z „Solidarnością”?

Janusz Maciejewski: Od 1973 roku przede wszystkim byłem członkiem jednej podziemnej organizacji, właściwie jedynej działającej w Polsce w tym okresie, mianowicie łoży wolnomularskiej „Kopernik” – mówiąc językiem masońskim „na wschodzie Warszawy”. Oczywiście to było bardzo ryzykowne, bo gdyby się wydało, gdybyśmy nie dotrzymali tajemnicy, to mógłby wyniknąć z tego bardzo piękny pokazowy proces, nawet z wyrokami śmierci. Organizacja była konspiracyjna i miała bliski kontakt ze swoim odpowiednikiem emigracyjnym – łożą „Kopernik” w Paryżu. Nawiązaliśmy z nią kontakt. Działaliśmy tutaj i tam. Organizowało się różne akcje, charytatywne głównie, zgodnie z ideą masońską. Od lat siedemdziesiątych, od lat sześćdziesiątych – nawet nie pamiętam, w którym roku był pierwszy proces, ale gdzieś od 1965 roku nikt z sądzonych nie miał własnego adwokata. Optacaliśmy go ze składek oraz darowizn. Pewną sumę przekazał na taką akcję [Melchior] Wańkowicz, który sam nie był masonem.

Myśmy tę grupę ochrztili przedwojenną nazwą MOPR (Międzynarodowa Organizacja Pomocy Rewolucjonistom), bo ona przed wojną broniła więźniów politycznych.

Marcin Mitzner: Skąd w ogóle pomysł, żeby reaktywować masonerię?

Janusz Maciejewski: Ten pomysł wyszedł z grona Klubu Krzywego Koła. Kiedy już groziło mu zamknięcie, część kolegów, między innymi: Jan Józef Lipski, Aleksander Małachowski i Janek Olszewski (mogę te nazwiska wymieniać dlatego, że Olszewski sam się przyznał, a Lipski i Małachowski już nie żyją – o żyjących się nie mówi, o nieżyjącym można), doszła do wniosku, że trzeba stworzyć coś nielegalnego, co by organizowało po prostu jakąś tam ukształtowaną już opozycję demokratyczną. A ponieważ było kilku przedwojennych masonów w Klubie Krzywego Koła, to doszli do wniosku, że idealną organizacją byłaby masoneria, bo masoni są przyzwyczajeni do dyskrecji.

Żadna nasza akcja nie była firmowana jako masońska. I tak zresztą na ogół działa masoneria. Teraz jest inaczej, gdzie działa ogromna ilość fundacji dobroczynnych które przyznają się do swojego pochodzenia masońskiego.

Tak więc ci przedwojenni polscy masoni doszli do wniosku, że warto tradycję przedłużyć. Główną postacią był Jan Wolski, który także został jednym z donatorów, bo miał... zebraną jakąś tam sumę pieniędzy, którą przeznaczył na MOPR, drugą dużą sumę wyłożył bardzo bogaty człowiek. Nie miał na co jej wydać, nie mógł założyć żadnej firmy, kupić żadnych obligacji, weksli ani założyć konta na Zachodzie, wobec tego postanowił przekazać właśnie na ten cel. W każdym razie w marcu 1968 roku wszystkie procesy były finansowane ze źródeł masońskich. Można powiedzieć, że wymyślił to Wolski, stary przedwojenny mason, który miał wielką, białą brodę. Piosenkę o nim napisał [Janusz] Szpotański w *Cichych i gęgaczach*. Wolski w młodości był anarchista. Narrator opery śpiewał: „Wieczorem, gdy się zmierzcha, lub pod ostoną nocy / staruszków tajemniczych dwóch do mnie skrada się. / Olbrzymie białe brody na wietrze im łopocą, / a z piersi się dobywa stłumiony cichy gęg. / Cóż ich tak do mnie pędzi? Czy może zdrożna chuć? / Ach, nie, to anarchiści, co spisek idą knuć! / Obalić pragną reżym, a potem państwo znieść / i w swoje białe brody mordercze bomby wpleść. / Wieczorem, gdy się zmierzcha, lub pod ostoną nocy / staruszków tajemniczych dwóch do mnie skrada się. / Olbrzymie białe brody na wietrze im łopocą, / a z piersi się dobywa stłumiony cichy gęg. / Cóż ich tak do mnie pędzi? Czy może zdrożna chuć? / Ach, nie, to anarchiści, co spisek idą knuć! / Obalić pragną reżym, a potem państwo znieść / i w swoje białe brody mordercze bomby wpleść”. W masonerii na zebraniach rytualnych nie można mówić o polityce, no to nie mówiliśmy. Ale gdy zbieraliśmy się, czekając na część rytualną, omawialiśmy wszystkie sprawy polityczne. Tam było sporo dostojnych osób: Antoni Słonimski, Edward Lipiński.

Marcin Mitzner: Były tylko te dwie loże: w Paryżu i w Warszawie, tak?

Janusz Maciejewski: Dopiero gdy odzyskaliśmy niepodległość w roku 1989, ujawniliśmy swoje istnienie i dokonaliśmy połączenia, to znaczy loża paryska, Paryżanie wszyscy afiliowali się w Warszawie. Podzieliliśmy się na trzy loże, dwie w Warszawie, jedna w Krakowie. I wspólnie powołaliśmy Wielką Lożę Narodową Polski, którą zarejestrowaliśmy. Jesteśmy teraz zarejestrowani, tak jak masoneria na całym świecie, licząc na to, że państwo dotrzymanie dyskrekcji. I dotrzymuje.

Marcin Mitzner: Jednego nie jestem w stanie dalej zrozumieć. Wiadomo było, że kiedy panowie zaczynali, to konotacje związane z masonerią i w ogóle jej odbiór w społeczeństwie i w kręgach władzy były bardzo złe. To było duże ryzyko.

Janusz Maciejewski: Tak, oficjalnie Kościół potępia nas do dzisiaj. W tej chwili ekskomunika jest już cofnięta, ale większość kościołów narodowych, że tak powiem, czy państwowych, między innymi Kościół polski, zabrania wstępowania do masonerii. We Francji wolno należeć – Kościół katolicki pozwala na to w USA, bo Sobór Watykański II zostawił prawo niespektowania tego zakazu przez poszczególne episkopaty narodowe.

Marcin Mitzner: Nie rozumiem, dlaczego ryzykowali panowie wtedy podwójnie...

Janusz Maciejewski: Byliśmy bardzo ostrożni... O masonerii chyba napiszę jeszcze osobno, jak będę miał trochę czasu, bo na razie muszę pisać recenzje prac doktorskich.

Jesteśmy w latach siedemdziesiątych. Na początku byłem bez etatu, pracę miałem, bo pisałem i w pewnym momencie prowadziłem nawet w Stołecznym Domu Kultury taki cykl wykładów. Nazywało się to: Stołeczny Uniwersytet Powszechny.

Od pewnego momentu już współpracowałem z IBL-em, potem udało mi się dostać zastępstwa w Instytucie, zdaje się, że już o tym mówiłem. I w 1971 roku dostałem już normalny etat w Pracowni Oświecenia IBL-u, która miała siedzibę we Wrocławiu. Było to o tyle przyjemne, że raz w miesiącu jeździło się na zebrania naukowe do Wrocławia. A to bardzo piękne miasto, bardzo lubię Wrocław. Robiłem to zawsze z przyjemnością i przy okazji zawsze miałem robotę. Jedną z moich prac, którą ciągnąłem przez 50 lat, była pełna edycja literatury konfederacji barskiej. We Wrocławiu jest Ossolineum, które miało ogromną ilość rękopisów z tej epoki, zawsze zostawałem sobie na dzień, dwa i siedziałem w tej bibliotece. Stąd zresztą ciągną się moje liczne znajomości wrocławskie, współpraca z „Odrą”, która w tej chwili jest sporadyczna, ale ja w ogóle przestałem współpracować z pismami, właściwie poza „Odrą”.

Teraz ukazało się coś w „Twórczości”, ale to po wielu latach mojej nieobecności tam. Zresztą te kontakty z Wrocławia owocowały też w mojej publicystyce, dlatego że po długim milczeniu pierwszy mój artykuł, który ukazał się na łamach prasy, to był tekst w „Polityce”: *Cud nad Odrą* – o rozwoju i stanie kulturalnym Wrocławia. Działał tam już [Jerzy] Grotowski, działał Henryk Tomaszewski, wychodziła „Odra”, wytworzyło się środowisko literackie, zwłaszcza młode, ale byli też starsi. Napisałem taki panegiryk na cześć Wrocławia, który interpretowano powszechnie, że jest to próba przeciwstawienia temu upadkowi kultury, który był w 1968 roku w Warszawie, właśnie modelu takiej kultury, która się rozwija, [kultury] czynnej. Chwaliłem to, co rzeczywiście można było chwalić, co dawało rezultaty. I oczywiście wtedy zacząłem bardzo bliską współpracę z „Odrą”. Przez jakiś czas nawet prowadziłem tam jako redaktor cykl „Mój wiersz”. Zwracałem się do pisarzy, którzy mogli złożyć mi autointerpretację jakiegoś wybranego przez siebie wiersza.

To zaowocowało parę lat temu książeczką. Nie wszystkie wypowiedzi tam są, to zostało przerwane przez stan wojenny i wznowione pod koniec stanu wojennego. Kończyliśmy to z naczelnym redaktorem „Odry” [Mieczysławem] Orskim, to już w Polsce niepodległej.

Zaczęło się znów życie, mała odwilż gierkowska zakończyła się dość szybko, na początku lat 70. i znów pojawiły się trudności z literaturą. Tyle, że ruch dysydencki na tyle okrzepł, że wyłonił alternatywne formy kultury, czyli „drugi obieg”, z którym współpracowałem.

Gdy powstał KOR, współpracowałem z KOR-em. Zresztą aż czterech masonów znalazło się w KOR-ze. Był to bardzo bliski związek, aczkolwiek nie było to żadne oddziaływanie. Gdy ujawniliśmy się po latach, Michnik bardzo dziwił się później z tego powodu, że nie było widać, że ta czwórka cokolwiek robiła razem. Masoneria rozwijała się z trudnościami. Mieliśmy przerwy, bo było posądzenie, że jedno z naszych spotkań zostało nagrane, więc przerywaliśmy spotkania rytualne na trzy lata, spotykając się tylko towarzysko i oczywiście utrzymując kontakt.

W każdym razie życie w drugiej połowie lat 70. było już dla nas związane z drugim obiegiem, z ruchem dysydenckim i z bardzo bujną działalnością Nowej Fali. Byłem starszy oczywiście, należę do pokolenia „Współczesności”. Ale bardzo blisko współpracowałem z nimi, ponieważ ja w tym czasie... Aha, tego nie powiedziałem, że gdy byłem bez pracy, to mój mistrz z okresu łódzkiego, który został akurat rektorem Uniwersytetu Łódzkiego, profesor Zdzisław Skwarczyński, zaproponował mi zajęcia zleczone.

I przez kilka lat dojeżdżałem do Łodzi na te zajęcia i oczywiście miałem bardzo bliski [kontakt] z łódzkim środowiskiem, w którym większość to byli moi studenci: Jacek Bierezin, Witold Sułkowski, Zdzisław Jaskóła, Lucyna Skąpska, to byli mniej więcej ci z łódzkiej Nowej Fali. Po Krakowie i Poznaniu chyba właśnie Łódź była trzecim co do ważności ośrodkiem.

W tym czasie [Gustaw] Gottesman zaproponował mi pracę w tygodniku „Literatura”. Pracowałem tam w dziale krytyki literackiej z Michałem Sprusińskim, Ryszardem Matuszewskim i kilkoma młodymi ludźmi. W pewnym momencie wybuchła awantura, bo zrobiliśmy dyskusję na temat literackiego dorobku roku 1975. Okazało się, że chwailiśmy prawie wyłącznie tych, którzy podpisali list przeciwko zmianom w Konstytucji. Kar nie wyleciałem z redakcji, Matuszewski też wtedy wyleciał. Ponieważ nie chciałem im ułatwiać pracy, zadzwoniłem do KC (personaliami rządził Wydział Kultury KC), żeby mi wytłumaczyli, dlaczego. Wił się straszliwie ten facet, już nie pamiętam, jak się nazywał. Powiedział: „No, do was to mamy mniej pretensji niż do Matuszewskiego, bo od naszego partyjnego wojska to więcej wymagamy”. A Matuszewski był członkiem partii. Ale też organizował tę dyskusję i też wyleciał. Mój grzech był lżejszy niż Matuszewskiego, ale skończyło się tak samo.

Ponieważ wtedy, już za Gierka, była troszkę większa swoboda, ludzie mniej się bali, więc zaproponowano mi... Przez rok dojeżdżałem do Siedlec, gdzie była polonistyka w Wyższej Szkole Pedagogicznej. I tam miałem wykłady, jako drugi etat. Po roku mnie wyrzucili. Nie tylko mnie, wyrzucili wszystkich IBL-owców z tej szkoły. Byliśmy siewcami zepsucia, że tak powiem. Natychmiast zaproponowała mi wtedy pracę Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna. Wykładałem tam na Wydziale Wiedzy o Teatrze, kształcącym przyszłych krytyków teatralnych. Bardzo to miło wspominać, grupa wyróżniała się inteligencją. Był już taki dobór, taki przesiew, że sami celujący tam się dostawali.

Bardzo żałowałem, że odchodzę stamtąd, ale odchodziłem ze względów prestiżowych. Mianowicie w 1980 roku przeproszono mnie za marzec 1968 na uniwersytecie i przywrócono. Ja nie byłem taki desperat, żeby rezygnować z pracy w IBL-u, gdy byłem po trzech latach bez stałej pracy. Zgodziłem się wrócić na pół etatu, bo to mogłem. Ale nie mogłem mieć dwa razy po pół etatu. Wobec tego zrezygnowałem z PWST, żeby wrócić na uniwersytet. Ale zawsze z przyjemnością spotykam się ze studentami wiedzy o teatrze. Już dwukrotnie robili takie spotkania absolwenci tej szkoły i proszono mnie na nie. Coraz mniej jest naszych, moich kolegów. Marta Fik, Stefan Meller już nie żyją. Umarł już Henryk Hinz, który uczył filozofii, też byłem z nim blisko bardzo.

Później wybuchła „Solidarność”. To był rok ciężkiej roboty, liczba komisji w których się było, liczba zebrań, liczba zarwanych nocy była niesamowita. Tak że nawet nie tyle ja, ile mój organizm jakoś odetchnął, gdy wprowadzono stan wojenny, bo nagle mogłem normalnie spać. Nie kładłem się o godzinie 3.00, nie wstawałem o godzinie 6.00. Natomiast wtedy staraliśmy się tę Polskę przebudować gruntownie, wykorzystać chwilę. Brałem udział w strajku okupacyjnym w PWST właśnie. To był mój drugi udział w strajku okupacyjnym. Pierwszy był w marcu 1968 roku na polonistyce (strajkowałem razem z członkiem KC Stefanem Żółkiewskim), drugi właśnie wtedy, w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej. W marcu 1981... gdy przetaczała się sprawa bydgoska (strajkowałem z Tadeuszem Łomnickim, też z członkiem KCI). I też siedzieliśmy, układaliśmy rezolucje ze studentami. Byłem w komisji z [Andrzejem] Łapickim, już nie pamiętam, czy ktoś jeszcze był z pracowników, i z kilkoma studentami. Mocną rezolucję uchwailiśmy, sżnistów.

W stanie wojennym nie wyrzucono mnie z uniwersytetu, dalej cały czas uczyłem. Uczyłem zresztą tak samo w Łodzi, jak i w Warszawie, nie krępując się. Pamiętam, że gdy zaczął się stan wojenny, przybiegli do mnie studenci: „Co teraz będzie z naszym konwersatorium?” – pytali. Prowadziłem konwersatorium ze współczesnej poezji, gdzie na równi z literaturą krajową, omawiałem emigracyjną. Ja mówię: „Nic nie będzie. Będę mówił to samo i wy też będziecie mówili to samo teraz, a jak zareagują władze, to zobaczymy”.

Marcin Mitzner: Zareagowały?

Janusz Maciejewski: Zareagowały bardzo łagodnie. Nagle pierwsza sekretarz Organizacji Partyjnej zapytała, czy może chodzić na moje konwersatorium. Przychodziła, chodziła dwa lata, zabierała głos w dyskusji, była młodszą asystantką. I nic się nie stało, co znaczy, że albo uznała, że jest dobrze, albo nie miała śmiałości ujawniać tego, co było źle, wiedząc, jak wyglądało później przeproszenie w 1980 roku. I potem zrewanżowałem się jej. Byłem recenzentem jej pracy doktorskiej i habilitacyjnej. Zgłosiła się do mnie. Poza tym to nie była głupia dziewczyna i jest teraz wartościowym profesorem Uniwersytetu Warszawskiego. A wówczas chciała robić karierę przez partię, a się okazało, że można zrobić karierę także wyłącznie naukowo, nawet przez tyle lat nosząc odium, że było się za rządzącymi (po roku 1990 było jej tyso).

Właściwie później, do przejścia na emeryturę nic się nie zmieniło, poza tym, że prowadziłem zajęcia w IBL-u i na uniwersytecie. Natomiast w pracy społecznej dużo się zmieniło, dużo było nowej.

Nie wiem, czy nie powinienem powiedzieć jeszcze czegoś więcej o latach 70.

Marcin Mitzner: Wrócimy zatem do tego w drugiej części rozmowy, w której będę już zadawał konkretne pytania.

Janusz Maciejewski: Dobrze. Nie byłem aresztowany ani w 1968 roku, ani po wprowadzeniu stanu wojennego, aczkolwiek byłem na liście aresztowanych, ale tych, których w ostatniej chwili w niej skreślono, bo okazało się, że jest za mało miejsc noclegowych dla aresztantów. W każdym razie pierwotna lista dotarła za granicę i okazało się, że na tej liście figurowałem. Nawet dostałem z zagranicy jakąś paczkę, to znaczy żona dostała jako żona internowanego. Takich osób było kilka. Na przykład

nie był internowany [Tomasz] Burek, chociaż był na liście i też sprawdził, że oni w ostatnim momencie robili jakąś selekcję. I my wypadliśmy. Natomiast byłem przesłuchiwany.

Na początku chodziło o moje pierwsze kontakty. Kontakt pierwszy był potwornie męszczy, bo ja nie wiedziałem wtedy jeszcze, w ogóle nie wiedzieliśmy, że mamy prawo odmówić zeznań, więc musiałem odpowiadać, to znaczy odpowiadałem, bo myślałem, że tak muszę. I starałem się niezwykle, żeby nie powiedzieć czegoś, co mogłoby komuś zaszkodzić, na przykład z kim się stykam, z kim się przyjaźnię. Wybrałem sobie trzech członków partii, z którymi jakoś się stykałem. Bardzo mnie rozładowało zakończenie tej rozmowy. Było to w kawiarni. Tam umówili się ze mną. Też nie bardzo wiedziałem, jak to się dzieje. Później Janek Lipski (też wtedy nie wiedział, że można odmówić) powiedział, że nie należy umawiać się w kawiarni, dlatego że może z tego wyniknąć jakiś szantaż. Ktoś zrobi zdjęcie... Ale nie wykorzystali tego.

Natomiast za drugim razem już wiedziałem i odmówiłem, powiedziałem po prostu: „Nie, panowie chcą ze mną rozmawiać, to mogę przyjść do panów. Nie muszę. I nie chcę. To jest bardzo krępujące rozmawiać w kawiarni. Zobaczyłby mnie znajomy, dosiadłby się i co wtedy?”. I drugą rozmowę miałem już u nich, na Rakowieckiej. Pod koniec rozmowy z dwoma (w kawiarni z jednym rozmawiałem, tutaj z dwoma) było tak: „No, proszę pana, nie będziemy od pana żądać, żeby pan podpisał, że to wszystko będzie tajemnica, ale pan rozumie, że będziemy liczyć, że pan nikomu nie powie o tym spotkaniu”. „No dobrze, nikomu oczywiście, za wyjątkiem żony, której już powiedziałem, że idę do was”. „To niedobrze, to bardzo niedobrze”. „No wie pan, ja żonie powiem, i powiem, jak było naprawdę, bo jak będę kręcił, to ona się zmartwi, że w ogóle Bóg wie co mi tutaj grozi, i nie będzie mogła spać, będzie się denerwowała. Tak że powiem jej wszystko”. Chciałem tak troszkę zweaklować rozmowę. „A pan tak wszystko żonie mówi?” „Wszystko”. Ja ufałem, że nie chwycię tego wątku. Natomiast w pewnym momencie ten drugi, który był mniej inteligentny, powiedział: „Pan powie tak, że pan był świadkiem wypadku na ulicy i musiał pan przyjść i zeznać, tak pan zrobi”. To nagle mnie strasznie rozśmieszyło i zacząłem się śmiać. Oni skonfundowali się i nagle zobaczyłem, że oni się boją. Ja mówię: „Nie, proszę pana, żonie wszystko powiem. Poproszę żonę, żeby nie mówiła, ale pan wie, jak to kobiety, mają znajome i tak dalej”. I na tym się rozeszło, skończyło. Potem się w czasie następnych rozmów w ogóle nie bałem.

Marcin Mitzner: A były następne?

Janusz Maciejewski: Były. Te dwie rozmowy to były w 1969. Potem miałem rok przerwy i zostałem wezwany na rozmowę telefonicznie w grudniu 1970 roku, czyli wtedy, kiedy były wydarzenia grudniowe. Wyznaczono ją akurat na dzień, kiedy byłem na zastępstwie. Jeszcze nie miałem etatu, ale miałem zobowiązanie: jechać na zebranie do Wrocławia. Powiedziałem: „Proszę pana, teraz to ja nie mogę, bo mam zebranie naukowe i muszę się pilnować, bo mam teraz tylko zastępstwo w pracy i w ogóle”. „Wobec tego dobrze. To kiedy pan wraca? Zadzwonimy wtedy do pana”. W międzyczasie były wydarzenia grudniowe i nie zadzwonili. Zadzwonili parę lat później. I potem jeszcze miałem przesłuchania.

Na poprzednim przesłuchaniu zwrócono się do mnie z propozycją, żebym napisał charakterystykę profesora Kazimierza Wyki. Naukową charakterystykę. Powiedzieli: „Będzie to honorowane, potrzebujemy. Może pan nie podpisywać, [albo podpisać] tylko jakimś pseudonimem”. Powiedziałem wtedy: „Nie, dziękuję, jeśli bym cokolwiek pisał, to tylko pod własnym nazwiskiem przede wszystkim. A po drugie, ja pisuję tylko do druku”. I później nie bałem się już, mówiłem dość twardo. I na tym się skończyło. Potem dostałem już normalny etat w IBL-u. Później przy tej rozmowie, wtedy, przed propozycją, a może podczas tej samej rozmowy, powiedziano mi, że będę miał pewny etat w IBL-u, jeśli zgodzę się napisać charakterystykę dyrektora IBL-u. Ale też odmówiłem.

A później zostałem sekretarzem redakcji „Tekstów”, dwumiesięcznika. [Jan] Błoński był naczelnym, [Janusz] Sławiński – zastępcą, ja byłem sekretarzem redakcji, tam jeszcze parę osób było: [Edward] Balcerzan, [Stefan] Treugutt, [Krzysztof] Dybciak. Dybciak został z czasem moim zastępcą.

W pewnym momencie wybuchł skandal, bo wydrukowaliśmy artykuł Ryszarda Przybylskiego o Stawroginie, przeciwko któremu zaprotestowała ambasada radziecka. To była druga połowa 1975 roku. Przybylski dostał zapis. Nie wolno było w ogóle go drukować. Gromy spadły na IBL i ja zostałem wezwany na przesłuchanie jako sekretarz redakcji. Kto zamówił ten artykuł? Powiedziałem, że nikt. Gdy pismo miało wychodzić, to z Błońskim (jako naczelny i sekretarz) podpisaliśmy takie pismo do wszystkich pracujących na gruncie polonistyki zapraszające do współpracy. Wtedy Przybylski sam zgłosił ten artykuł. Tekst bardzo podobał się nam, nie wiem, dlaczego nie podoba się ambasadzie radzieckiej. I wydrukowaliśmy. To ich zadowoliło.

A wtedy na tym spotkaniu była jeszcze jedna zabawna rzecz, która sprawiła, że właściwie od początku nad nimi górowałem. Mianowicie chcieli mnie rozmiękczyć, powiedzieli: „A, witamy, witamy po długiej przerwie. Wiemy, że pan już jest unormowany marzyciel, ma pan etat w IBL-u, jest pan sekretarzem redakcji «Tekstów», poza tym pan pisuje, wydaje książki, jeździ na sympozjony, zabiera głos w dyskusji, a na konferencjach wygłasza pan referaty. Ostatnio właśnie był pan w Świnoujściu, wiemy, że pan tam miał referat”. „Nie proszę pana, nie miałem referatu”. „Ale proszę pana, wiemy, wiemy, pan miał referat”. „Nie miałem”. „A kto miał referat o Słowackim?”. Zastanowiłem się i mówię: „Były referaty, ale o Słowackim miał referat profesor [Jarosław] Maciejewski z Poznania”. „Brać pan później udział w życiu pokonferencyjnym”. „Brać. Wieczorami schodziło się i mówiło”. „Wygłaszał pan takie monologi wielkie”. „Nie, nie wygłaszałem monologów”. „I jakżeż, jakżeż, wygłaszał pan takie monologi”. I ja sobie uprzytamniam, że tam były monologi i że wygłaszał je Marian Maciejewski z Lublina, z KUL-u. Mówię: „Proszę pana, jak panowie wszystkich obecnych w Świnoujściu wsadzili do jednej teczki, to wyszedł bardzo aktywny Maciejewski. Powinien pan tę teczkę podzielić teraz na trzy”. Całkowicie spuścili wtedy z tonu i zaczęli mnie pytać o tego Stawrogina właśnie.

A później jeszcze raz, w stanie wojennym, mnie przesłuchiwano. Cały czas wtedy, po rozwiązaniu ZLP, utrzymywaliśmy struktury związkowe, tylko w podziemiu, tajne. Mieśliśmy konspiracyjne zjazdy podziemne ZLP. I w pewnym momencie, kiedy trwał jeden

z nich, niestety nakryto nas – wkroczyła milicja i aresztowała wszystkich obecnych. To było w Poznaniu. Jerzy Korczak, taki pisarz, dostał ogromne mieszkanie na strychu i tam zrobili zjazd. Poprzednie zjazdy były u księży, to znaczy w klasztorach. Ja brałem udział w takim zjeździe, drugim już, w Tyńcu. Po tym Poznaniu trochę odczekaliśmy. I kolejny zjazd miał być znów w Tyńcu. Nie miałem w nim brać udziału, bo tak ustaliliśmy, że na każdym zjeździe będą nowe osoby i tylko jedna, która brała udział w poprzednim. Ja ani w Poznaniu, ani w poprzednim zjeździe nie brałem udziału. I oni też dowiedzieli się o tym i postanowili przeszkodzić. I wezwali na rozmowę wszystkich potencjalnych uczestników. Mnie też. Ja mówiłem, że nic o tym nie wiem i nie wybieram się. Jadę 1 maja na wieś do chatupy wiejskiej. Przesłuchujący: „A to słusznie, to bardzo słusznie, nie należy być w Warszawie w tym czasie”. Tak wyglądało ostatnie przesłuchanie. Był już 1988 rok.

Zawsze z tymi samymi dwoma panami rozmawiałem, czyli miałem aniołów stróżów. Po kilku latach, w 1994–1995 roku, nagle ktoś na ulicy do mnie krzyczy: „Panie Maciejewski, panie Maciejewski”. Mało kto tak do mnie się zwraca. Patrzę na niego i nie rozpoznaję. „Pan mnie nie rozpoznaje?”. „Nie”. „Zakrzewski”. „A...”. Oczywiście to nie było jego nazwisko, oni mieli swoje pseudonimy. „No i co pan robi?”. „Robię dalej na uniwersytecie, jestem w IBL-u. A pan co robi?”. „Proszę pana, ja już zerwałem z tymi instytucjami, wie pan. Jeszcze przed 1989 rokiem, w 1988. Odszedłem i machnąłem ręką. Pan miał rację, od początku, pan miał cały czas rację”. „A co pan robi?”. „A, w biznesie jestem, prowadzę firmę”.

Wszyscy ubecy poszli do biznesu, ale przynajmniej nie przepijają tych pieniędzy, tylko one są... one są w ruchu.

Marcin Mitzner: Ten okres, o którym zaczął pan mówić przed kwestią ubecką, czyli te osiem lat między stanem wojennym a 1989... jak ten okres wyglądał?

Janusz Maciejewski: Było znacznie liberalniej w stanie wojennym niż przed stanem wojennym, to znaczy wyjeżdżałem za granicę. Oni wręcz chcieli, żeby ludzie wyjeżdżali i zostawali tam. Oni chcieli się nas pozbyć, proponowali wyjście z więzienia za wyjazd zagranicę. Jak pan wie, Jaruzelski zmienił politykę.

Pisywałem w paryskiej „Kulturze”, pisałem wprawdzie pod „literkami”, nie pod nazwiskiem. Na wszelki wypadek, ale można było tak. Zapraszali mnie zresztą i Francuzi na Rok Norwidowski, gdy był w 1983 roku we Francji. Francuzi urządzali takie wielkie seminarium w Fontainebleau poświęcone Norwidowi. Raz mnie zaproszono. Ja tam byłem oficjalnym delegatem Polski. Wtedy pisałem książkę o Norwidzie, która wyszła na początku lat dziewięćdziesiątych. Pamiętam, że na Moście św. Genowefy, kiedy byłem w Paryżu, spotkałem [Stefana] Starczewskiego.

Po roku 1989 dalej kontynuowałem pracę na uniwersytecie i w IBL-u. Tylko roboty miałem znacznie więcej, prawie tak jak w 1981 roku, dlatego że postanowiłem założyć czasopismo „Tygodnik Literacki”. No i zostałem naczelnym tego pisma, a Piotr Matywiecki zastępcą. I połączyliśmy się z taką grupą młodych ludzi, którzy też chcieli zakładać czasopisma. Na jej czele stał Waldemar Gasper. Potem założyliśmy pismo literackie „Poptop”. Nazwę wymyślił Tadeusz Komendant. Potem zmieniliśmy ją na „Przegląd Literacki”.

W końcu upadliśmy wobec trudności finansowo-ekonomicznych. Wygaśł ten stary szum, który był na początku. I tak strasznie długo ciągnęliśmy. To było pismo nieregularne. „Tygodnik...” z racji nazwy był jeszcze w miarę regularny, pod koniec zaczął być nieregularny. „Pismo Literackie” zaczęło początkowo wychodzić jako dwutygodnik, ale później ukazywało się wtedy, kiedy mogło. Pojawiały się przerwy dwutygodniowe, trzytygodniowe, czasem nawet miesięczne między jednym a drugim numerem, ale format był wtedy gazety, taki, jaki miała dawna „Polityka” i dawne pisma.

W ostatnim okresie skupiłem się na pracy naukowej. Doszedłem do wniosku, że jeśli nie pospieszę się, to nie zdążę wydać tej edycji [literatury konfederacji barskiej]. Udało mi się zebrać dużą gromadę młodych ludzi – kilkanaście osób, które pomogły mi ją skończyć rok temu.

Mam i tak dosyć pisania, bo recenzuję prace doktorskie, piszę opinie w sprawie profesury belwederskiej i tym podobne. W roku 2000 przeszedłem na emeryturę, ale w niczym to nie zmieniło moich zatrudnień. Jeszcze przez dziesięć lat uczyłem na uniwersytecie. Przed siedmiu laty zacząłem wyklądać w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej i dalej wykładam. W IBL-u początkowo prowadziłem nawet dwa projekty badawcze, w tej chwili już tylko jeden. Jestem kierownikiem Zespołu Badań Trzech Obszarów Literatury. Robię to z tymi młodymi ludźmi, z którymi razem skończyłem *Literaturę konfederacji barskiej*. W tej chwili naszą pracą zbiorową jest wydawanie tematycznego rocznika „Napis” – nie mylić z „Zapiskami”. Organizujemy konferencje i wydajemy ich plon...

To tyle, proszę pana.

♦ Rozmowa została nagrana w kilku sesjach, od jesieni 2010 roku do lutego 2011. Janusz Maciejewski nie zdążył jej autoryzować, zmarł 9 lutego 2011 roku. Nagranie przechowywane jest w Archiwum Historii Mówionej w Domu Spotkań z Historią w Warszawie.

W wersji przygotowanej do druku pominięte zostały fragmenty słabo nagrane i niejasne. W nawiasach kwadratowych dopisano brakujące słowa i imiona wspomnianych osób.



Prace plastyczne – miss_dorys